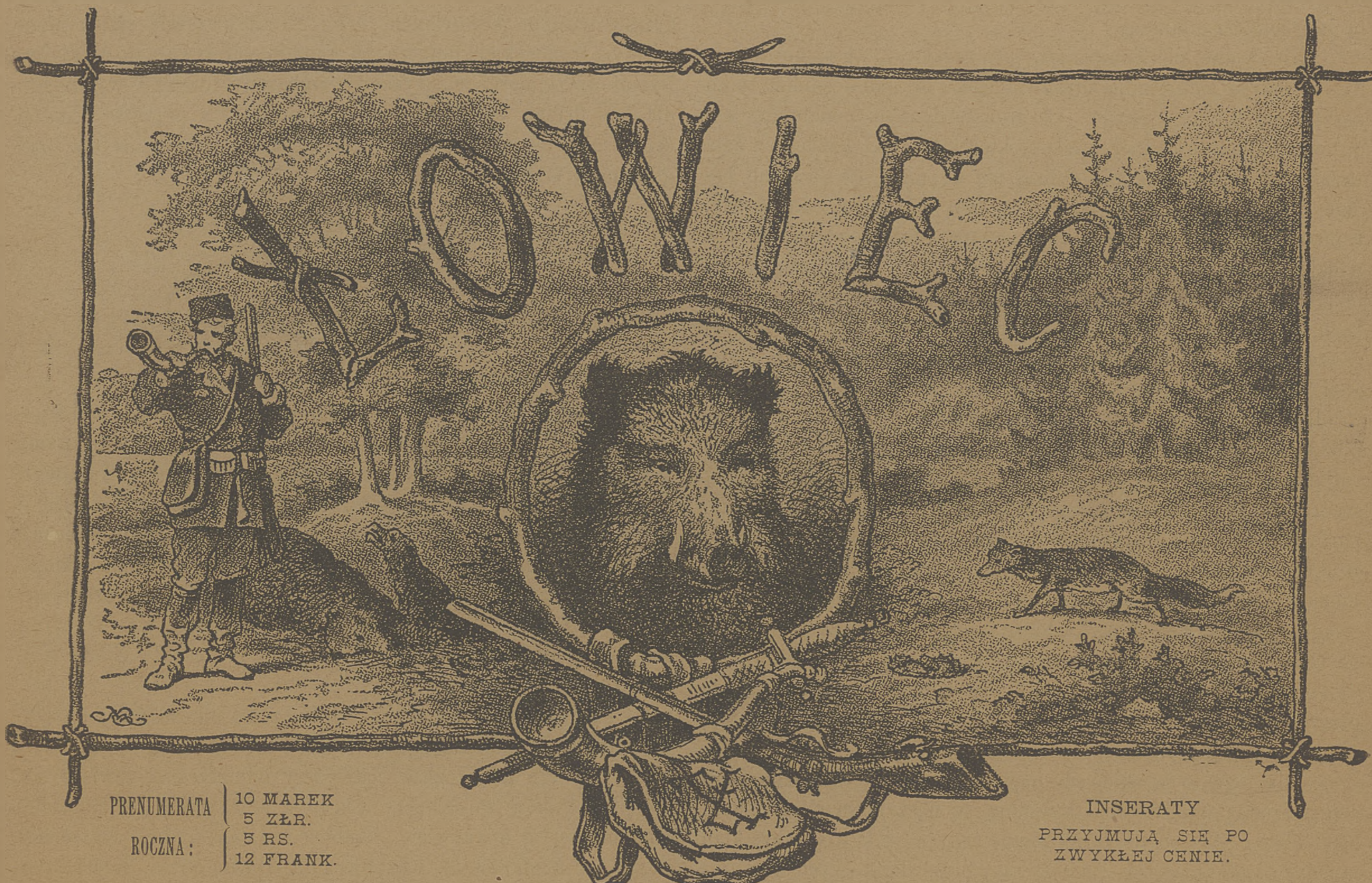
Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1881. Rok IV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

WSPOMNIENIA z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ do SYRYI ROKU 1881.

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

(Ciąg dalszy).

Siódme niebo obiecał Mahomet wyznawcom swoim. Niewiem czy słowa dotrzyma, ale to pewne, iż tego siódmego nieba niepotrzebują ci, którzy Bosfor posiadają. Ile razy wspomnienia tego widoku przed moją pamięcią przelatują, pozostaję w niemem zachwyceniu tak jakby przed epizodem rozstrzygającym, którego się było świadkiem, a którego wspomnienie na zawsze w pamięci wyrytem zostaje. Turyści, którzy świat zjechali, a niewidzieli tych cudów przyrody, czas niepotrzebnie stracili na podróżach.

Dla tego to na opis Bosforu silić się nie będę, bo zawsze w życiu wszelka parodya była mi wstrętną.

Wjechaliśmy do portu Konstantynopola oczarowani, zachwyceni. Nawet ci dwaj towarzysze nasi, którym wesoła Niobe swoim tańcem tak dokuczyła w nocy, zapomnieli o przebytych dolegliwościach, w obec cudów roztaczających się przed ich oczami.

W około nas, po obu brzegach, wśród roślinności o najjaskrawszym kolorycie, wszędzie wznoszące się na obu wybrzeżach, europejskiem i azyatyckiem, w najdziwaczniejszym stylu i kształcie pałace, nad nimi sterczące wieże minaretów, wszystko to otoczone ogrodami zawieszonymi na wzgórzach i czyniącymi wrażenie rozmaitych warstw mchu różnobarwnego na skałach. Oto ramy obrazu, w którym nasz statek, jakby na olbrzymiem płótnie, którego tłem były morskie fale, zapłynął nareszcie do portu. W około nas liczne stada delfinów koziołkowały ciągle tuż w pobliżu statku. Wesołe te ssaki wodne przypominały nam stada dzików przewalające się podczas nawalnej zimy, przez zaspy śnieżne. — Nad głowami naszemi krążyły niezliczone zastępy kormoranów, które odbywały straż około portu, a zbadawszy, jak czujne policyanty, wszystko co statek który zawierał, powracały ku wybrzeżom i zasiadały spokojnie na wieżach minaretów, a nawet na dachu czarownego zamku sułtańskiego Dolma-Bakczy, gdzie bezpieczne przed śrótem czyhających na nie strzelców, bezpieczniejsze tu na dachu, niż może sam sułtan w swoim pałacu, spokojnie noc przepędzają. Żadne ptactwo wiosenne tak liczną hurmą nie spada na nasze niwy, jak w porcie stambulskim roje wioślarzy, agentów i rozmaitych drogmanów na pokład przybywającego statku. Żaden też rodzaj ptactwa nie jest tak krzykliwym, jak te zgraje, żaden zgłodniały ptak z taką chciwością nie chwyta

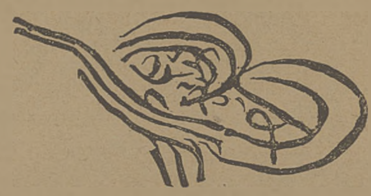
swego żeru, jak ci agenci chwytają podróżnego z Zachodu, bo to jest ich żer ulubiony.

Nie wolno mi Konstantynopola opisywać, bo to nie wchodzi w zakres pamiętnika myśliwskiego. Tę jedną śmiem tylko uczynić ogólnikową uwagę, iż Konstantynopol podobnym jest do owej kobiety o cudnej urodzie, której wdzięki każdego z dala oczarować muszą, ale nie zbliżaj się do niej, bo straszne będzie rozczarowanie, nie znajdziesz tam ani serca, ani duszy. Konstantynopol, by się nie narazić na rozczarowanie, trzeba widzieć o wschodzie lub o zachodzie słońca z Bosforu, z daleka, tak jak na scenie wyróżowana artystka o zgasłych wdziękach, powinna być widzianą tylko przy świetle gazu z loży dalszej i przez niezbyt silne szkła. Tak w jednym jak i w drugim razie, jeśli chcesz zachować złudzenie, nie idź za kulisy, nie idź w ulice Konstantynopola. Są tu i w mieście pewne rzeczy niezwykłej piękności, już do przesytu opisywane, na przykład sułtańskie pałace: Dolma Bakcze, Czeregan, Beglar i inne, meczet św. Zofii, grobowce rozmaitych sułtanów, wieża Galaty, porfirowa kolumna Justyniana, marmurowa Teodozyusza i krocie innych piękności. Ale miasto samo, pożal się Boże! Miasto muzułmańskie czyli stary Stambuł zachowało nieco jeszcze swego dawnego kolorytu. Ludność muzułmańska, ze wszystkich narodów może najgrzeczniejsza, najuczynniejsza, a bezwzględnie najuczciwsza, tu się skupiła. Nie zdemoralizowana jeszcze przez wpływy obce, tu zachowała jeszcze do pewnego stopnia, swoje tradycyjne cnoty.

Dla tego to w sklepach nawet spotkać się tu można jeszcze z rzadką uczciwością, nieznaną w naszym cywilizowanym Zachodzie. Ale co do form zewnętrznych, jak we wszystkich miastach południowych, wielki tu panuje brak czystości i porządku. Rzecz to dziwna, iż Muzułmanie, najczyściejsi pewnie ludzie na świecie (albowiem Alkoran przepisuje im ablucye kilkorazowe co dzień, i najmniej dwie kąpiele na tydzień, czego najsumienniej się trzymają) żadnej nie czują potrzeby utrzymywania w czystości swoich mieszkań i ulic miast swoich. — Śmiesznym wydawać się może zarzut taki, uczyniony Turkom przez przybysza, Galicyanina. Jużto my nie wiele mamy prawa żądać czystości w miastach za granicą, my, którzy posiadamy nasze żydowskie miasteczka. Ale to rzecz pewna, że szlachcic polski ma w sobie jakąś krytykującą żyłkę i wady i przywary wszędzie wypatrzyć lubi, byle nie w sobie. Śmiało jednak powiedzieć można, że miasta na Wschodzie nie o wiele są czyściejsze od miast we Włoszech i w Hiszpanii, ani od naszej Zarwanicy i Krakowskiego przedmieścia. Ta jedna tylko zachodzi różnica, że mieszkańcy tych ostatnich miejscowości w dodatku od kąpieli się wstrzymują.

Miasto chrześcijańskie, a właściwie przedmieścia Pera i Galata przedstawiają dziwną mięszaninę wschodniego barbarzyństwa z gangreną zachodu. Łatwy do pojęcia wynik takiej mięszaniny. Dziki Muzułmanin zatarłszy tradycye swoich cnót dawnych, wyuczony chciwości, chytrości i przebiegłości od naleciałych tu wyrzutków europejskiego społeczeństwa, nie dorównał jednak swoim mistrzom, bo wiara i tradycya są to dziwne hamulce, których Muzułmanin żaden skruszyć do szczętu nie umiał, nie umiał dotąd zostać ani ateuszem, ani socyalistą, ani nihilistą. Dla tego to kradzieże i rozboje są tu rzeczą codzienną, ale jak statystyka policyjna wykazuje, wykonywane bywają prawie wyłącznie tylko przez ludność chrześcijańską, przeważnie przez Włochów, przez Ormian i Greków.

Zwiedziwszy wszystkie wdzięki i strony ujemne Konstantynopola wyznaję, iż szczerze zacząłem wzdychać do chwili wyjazdu, nie mając bynajmniej zamiaru jako turysta, lecz raczej jako myśliwy odbywać tę podróż, co też wyraźnie w programie naszym postawionem było. Na nieszczęście statek Messageryi francuskiej dopiero 16 Lutego odpływał do Mersyny. Dzięki uprzejmości austryackiej ambasady tutejszej wyjednano dla nas firman sułtański, który wszelkie, z przyszłej naszej drogi miał usunąć przeszkody, a którego tłómaczenie dla oryginalności stylu tu umieszczam:



Władco szanowny, o czynach wolnych, pełnych czci i poważania! Porządku świata, kierujący sprawami publicznemi, z mądrością i porządkiem, rozstrzygający te sprawy z najwyższą oględnością, otwierający drogi szczęśliwości teraźniejszej i przyszłej! Podporo podstaw tej szczęśliwości, otoczony wiecznie czujnem okiem Opatrzności, wybrańcu Państwa Ottomańskiego, wysoce poważany Gubernatorze Wilajetu w Syryi, ozdobiony orderem Medjidie I. klasy i orderem Osmanije, Ex-Wezyrze, szanowny ulubieńcze mój Achmet Hamdi Paszo! Niech Najwyższy czuwa nad tobą!

(Tu następują podobneż tytuły, zastosowane dalej do Gubernatorów Dzemil Paszy w Aleppie i Abedin Paszy w Adanie).

Gdy ten mój rozkaz Najwyższy odbierzesz, dowiesz się, że kilku Panów ze szlachty z krajów należących do monarchii austryackiej, a mianowicie Panowie: Leopold hr. Starzeński, Józef hr. Drohojowski, Kazimierz hr. Drohojowski, Karol Brzozowski, Wice-Konsul hiszpański w Lattakii, Aleksander Hulimka, Piotr Rudzki, Michał Brzostowski, w towarzystwie dwóch swoich sług, w tej chwili odjeżdżają z dziedzin Mojej szczęśliwości, aby się udać w podróż do Wilajetów Syryi, Adany i Alepu. Masz ich przyjąć jak najuprzejmiej, odpowiednio do ich stanowiska, gdyż są tego godni. Ten Najwyższy rozkaz na ich prośbę wydałem. Gdy przejrzysz obowiązujące Cię ustawy naszego Państwa, znajdziesz tam zapisane umowy, zawarte z zaprzyjaźnionemi z nami Mocarstwami. Wedle nich podróżni i kupcy wolny mają przejazd przez moje Państwo, a opieka Najwyższego nad nimi. — Gdy wyjeżdżając z miejsca szczęśliwości Mojej przybędą do krajów, które Twojej powierzyłem opiece, masz się zastosować do tego co tu nakazałem. Przyjmiesz ich jak najuprzejmiej, będziesz ich otaczał Twoją opieką, i masz w każdym względzie być im pomocnym. Gdyby im potrzeba było środków do przewozu, masz im takowych dostarczyć, jak Ci to nakazują ustawy. Masz czuwać nad ich bezpieczeństwem. Taka jest Moja Najwyższa wola. W tym to celu wydanym został niniejszy Firman w dniu 15 miesiąca Rabbi-Evel roku 1298.

Na odwrotnej stronie tego dokumentu, który jest wielkości flagi okrętowej, następują podpisy Wielkiego Wezyra i wszystkich ministrów, etykieta bowiem muzułmańska nie pozwala najwyższym nawet dygnitarzom, podpisywać swego nazwiska na karcie, na której jest podpis Padyszacha.

Nadeszła nareszcie chwila tak dla mnie upragniona, chwila, w której opuścić mieliśmy nareszcie ten nudny Stambuł. Dnia 16 Lutego o godzinie 4 po południu wsiedliśmy na pokład francuskiego statku „Cambodge“. Cóż za różnica z nieznośnymi statkami Lloydu, tak pod względem wygody, jak i uprzejmości kierowników i służby okrętowej. O wschodzie słońca przepłynęliśmy przez Dardanele i płynęliśmy w pobliżu wyspy Tene-

dos. Czas był prześliczny, morze dość spokojne. Piękny ten poranek na długo utkwił mi w pamięci. Archipelag grecki jest czarująco piękny. Tu doznaliśmy pierwszych skutków sułtańskiego firmanu, który powoływał wszystkie władze ottomańskiego Państwa, by nas strzegły i dawały nam potrzebną eskortę. Otóż najpiękniejsza, bo napowietrzna i srebrno-biała eskorta otoczyła nas na wodach Archipelagu, i statek nasz okrążyła. Liczne stado białych mew zawzięcie goniło za statkiem, to siadając na falach morskich, to krążąc nad głowami naszemi. Piękne te ptaki oswojone z pochodem statków, czysto z utylitarnej strony tę podróż odbywają. — Podróżni zazwyczaj dla rozrywki rzucają im kawałki chleba lub owoce, które zgłodniała ptaszyna z niezwykłą zręcznością chwytać umie. Długo bawiłem się z niemi w ten sposób, aż mi zapasu chleba nareszcie w kieszeni zabrakło, a biedne ptactwo z krzykiem domagało się natrętnie nowego pokarmu. Jestto już widać takie przeznaczenie, że zwykle europejczyk przyjeżdża na Wschód po to, by oszukiwał tamtejszych mieszkańców, każdy w swój sposób to czyni, jak kto może. I ja nie okazałem się lepszym od moich współ-braci. W braku chleba rzuciłem w powietrze bujającym ptakom kilka papierków cygaretowych. Ufne w uczciwość europejską połknęły je bez namysłu. Zapóźno poznały zdradę, nastąpiły więc krzyki, wrzaski, wymówki. Szczęście moje, że nierozumiem ich języka, bo sądząc po podniesionym głosie, gwałtownym ruchu skrzydeł, obsypywano mnie obelgami, niedobierając wcale wyrazów, tak, jak nasze dzienniki w polemice ze sobą. Na dnie charakteru mieszkańców Wschodu zawziętość nie leży widocznie, poczciwe mewy przebaczyły mi wkrótce ten żart niegodziwy i dalej poczęły eskortować nasz statek. Po lewej stronie ciągnęły się wybrzeża azyatyckie, na których się piętrzyły góry okryte śniegiem. Po prawej wyspa Mitilena, okryta pięknymi ogrodami, pełnymi drzew oliwnych i migdałowych. Miasto Mitilena na wzgórzu z fortem, którego Bóg wie kto dziś broni, przypomina w zarysach zwaliska zamku Trembowelskiego. Tak jak Chrzanowska broniła swego zamku przeciw Turkom, tak i Grecy niegdyś długo bronili swojej Mitileny. Upadli — dla czego?... Na to Byron odpowiedział:

„Bo tylko własne upodlenie ducha
„Nagina wolnych szyję do łańcucha“.

A czyż Grecya dzisiejsza warta lepszego losu? — Nie. To też i Byron wyrzekł:

„Nie, Grecy! — nie mam litości nad wami!“

W narodach tak się dzieje zazwyczaj, jak w pojedyńczych rodzinach. Prawnuki bohaterów stają się kupcami i ród upada. Potomkowie Leonidasów stali się kramarzami, worek pełen złota jest dziś ich sztandarem, giną tradycye, blednie miłość Ojczyzny, Grecya upaść musiała! Czyż opis podróży przez ten szlak historyczny, słynny już z czasu wojen Dariusza i Xerxesa, a później z czasu wojen krzyżowych, niebyłby niesmacznym plagiatem tylu opisów nakreślonych przez mistrzowskie pióra? Czyż wypada mnie, myśliwemu z podolskich stepów, jadącemu na łowiecką, a nie na naukową wyprawę, na tak olbrzymie porywać się dzieło? Tej śmieszności uniknę i pozostanę zawsze tylko sprawozdawcą naszej wycieczki myśliwskiej. Zamilczę nawet na teraz i owe wrażenia, które duszę rozpierają, a kreślę tylko osobiste uwagi, które mimowoli pod pióro się nasuwają. Wybrzeża Azyi po lewej stronie ciągle jeszcze przed nami. Taurus skałami swojemi, i śnieżystymi szczytami urozmaica nam jednostajność morskiej podróży. Na prawo morze — morze — i ciągle morze!......

Zkąd duma ludzka postawiła pewnik, że człowiek jest bezwzględnym i bezwarunkowym panem tego świata? A przecież większa część tej kuli ziemskiej, którą on sądzi, iż w moc swoją ujął, jest zalana morzem, w którem potęga tej dumnej istoty ustaje. Jeśli za pomocą pary i wynalazków różnych innych człowiek cząstkę powierzchni tego świata opanował i po tej powierzchni żegluje, niechże nie sądzi, że już jest panem tego całego wodnego świata. Jedna burza, jedno rozbicie o skały, a człowiek wraz z całym wynalazkiem swoim zapada w głębie królestwa innego, tam władza jego ustaje, duma jego ukorzyć się musi, tam wpada w moc potęgi ościennej, o wiele silniejszej, niż potęga jego ziemska. Tam królem wieloryb, i to królem szczęśliwszym od naszych ziemskich monarchów, bo się nie lęka ani rewolucyi, ani atentatu, ani nitrogliceryny. Zresztą bardzo do innych władców podobny, bo zazwyczaj spokojny, łagodny i osobiście nie chciwy krwi, zadawalniający się swoją listą cywilną z pewnej ilości drobnych rybek, które mu Ocean codziennie jak najakuratniej wypłaca. Sam dla siebie osobiście niewiele potrzebuje, i rozbitków nie pożera. Ma on wszelakoż, jak nasi monarchowie na ziemi, swoich ministrów i krocie urzędników, niewiem czy politycznych, czy sądowych, a tymi są krwi chciwe rekiny, i krew pijące pienory, niby nasze urzędy podatkowe. Ma on wielką mnogość ryb tłustych, niewinnych i nieporadnych, które, jak nasza szlachta i chłopi, służą za pokarm jego pienorom i rekinom. Lada burza, lada rozbicie okrętu, a dumny człowiek wraz ze swoją lokomotywą i innymi wynalazkami wjeżdża bezwiednie w granice tego najpotężniejszego państwa. Rekiny, jako straż czujna oczekują go u granicy, i żaden firman, żaden paszport choćby przez ambasadę podpisany, już mu niepomoże. Człowieku! wiecznie dumna, wiecznie zarozumiała a niepoprawna istoto! Czyż w obec tej potęgi, która ci grozi, śmiesz jeszcze twierdzić, że jesteś panem świata? I wy wszyscy socyaliści, nihiliści i realiści, których podstawą uszczęśliwienia ludzkości jest ateizm, przekonanie, iż nie ma Boga, i zasada, że używanie bez granic jest celem jedynym ludzkiego życia! Jakże wam łatwo głosić te wasze zasady na stałym lądzie, gdy wam nic nie zagraża. Ażeby was wyleczyć, chciałbym was widzieć na pokładzie okrętu, podczas szalonej burzy morskiej, gdy kilka cienkich desek dzieli was od tej wieczności, w którą na lądzie nie chcieliście wierzyć. Gdy okręt na falach buja jak szalony, gdy wicher rwie żagle i maszty łamie i żeglarze sami już głowę tracą..... O! wierzcie mi, na tym okręcie już ateuszów nie ma! Wszyscy padają na kolana i modlą się do tego Boga, którego się niegdyś zapierali, i na stałym lądzie w Niego wierzyć nie chcieli. W takiej to chwili chciałbym widzieć na pokładzie okrętu zgromadzonych wszystkich ateuszów, byłoby to z pożytkiem dla nich i dla tej cząstki ludzkości, która za ich nauką, po ich błędnych drogach kroczy.

Dziś, gdy po śniadaniu, cała nasza polska kolonia wylęgła na pokład statku, zbliżył się do mnie jakiś nieznajomy i poprosił po angielsku o pozwolenie zapalenia sobie cygara o moją płonącą cygaretę. Ta okoliczność stała się powodem chwilowej znajomości, która się między nami zawiązała. Jestto urzędnik angielski, zamieszkały od lat siedmiu w Port Natal, i zapalony myśliwy. Niewładając żadnym innym językiem tylko angielskim, nudził się na pokładzie francuskiego statku, jakby karaś w gitarze, ucieszył się też bardzo, że choć jedną znalazł żyjącą istotę, z którą się mógł „*tant bien que mal*“ rozmówić. Zawiązała się więc między nami pogadanka, oczywiście my-

śliwska, i ta bardzo mnie zajęła. Anglicy nie są blagierami, to rzecz wiadoma. Zresztą postawmy sobie raz śmiało to zapytanie: Co jest blaga wedle pojęć naszego zbyt pozytywnego świata? Mówicie: Chcemy prawdy! Precz z blagą! Chętnie się na to zgadzam, tylko raczcie mi też odpowiedzieć na zapytanie, wy wielcy prawdy lubownicy, wy ludzie pozytywni:

Czy wszystko co was otacza, czy wszystko co robicie i na co patrzycie, czy słowem życie wasze całe nie jest jedną, jednostajną blagą? Czyż blagą nie są wasze illuzye, któremi się ciągle otaczacie, a z których was ten siłą porywany pozytywizm nawet wyleczyć niemoże? Czyż blagą nie są wszystkie romanse i powieści, które tak skwapliwie czytacie? Czyż blagą nie są nawet wszystkie dramata, komedye i operetki, na które uczęszczacie z takim zapałem, a których prawdą jest chyba tylko ten grosz, który przechodzi z kieszeń naszych do kieszeń spiewaczek, które was złudzić potrafiły? Wszystko w tym świecie jest blagą, jeśli chcecie, niewykluczając nawet poezyi, bo w niej bezwzględnej prawdy nie ma, a jeśli jest, to jest ukrytą i jasną w swem ukryciu tylko dla duchów wyższych. Jestto nowożytny sposób pozowania na mędrca, nader wygodny i często popłacający — przywdzianie płaszczyka pozytywizmu i frazes na ustach: To nieprawda! To blaga! Ja temu niewierzę! Sposób to zręczny i nieomylny. Cóż jest łatwiejszego jak niewierzyć w to, czego się nie wie lub nierozumie? I wy właśnie, przeważnie młodsze dziatki naszego wieku, którzy niemoc waszego ducha ukryć chcecie sami przed sobą nieraz pod tymi zużytymi frazesami: To blaga! Ja temu niewierzę! czemuż w życiu waszem całem jesteście ciągle ofiarą najfatalniejszej w świecie blagi, udając brak ducha i serca? Bo ja w to wierzę, i z głębokiego mówię przekonania: jesteście lepsi niż się wydawać chcecie. Możecie powiedzieć śmiało, jak Marya Stuart: *„Ich bin besser, als mein Ruf!“* — Tak jest, duch życia w was jeszcze, i wasze serca biją, tylko modny dziś pozytywizm nakazuje wam, byście się wstydzili każdego objawu tego ducha, dla tego to życie wasze całe jest tak niesmaczną blagą. Wracam do mego Anglika. Może być, że blagował, ale to mi obojętne, skorom się jego rozmową tak ubawił, jak gdybym czytał najbardziej zajmującą blagę Dumasa lub Verne'a, lub był na przedstawieniu jakiej najnowszej komedyi pp. Sardou lub Labiche. Mój Anglik więc od lat siedmiu mieszka w Port Natal i poluje tam zawzięcie na wszystko, co mu pod lufę wpadnie. Zabił już 4 lwy ze sztućca *express* z fabryki Charles Lancaster w Londynie, kulami pękającemi, i każdy lew w strzale padł na miejscu. Niebezpieczeństwa tego polowania on też wcale nie pojmuje, jeśli strzelec ma zimną krew, dobrą broń i strzela pękającemi kulami. Panterę uważa za zwierza trwożliwego, uciekającego przed psami, i broniącego się tylko w ostatniej konieczności, ale nie atakującego nigdy strzelca, a więc i to polowanie, wedle jego przekonania z żadnem niebezpieczeństwem połączonem nie jest. Żyrafy strzelał z konia, podjeżdżając je czasem nawet na bardzo bliską metę, każda padała na miejscu od kuli jego expressa. Jedno tylko polowanie na dzikie bawoły uważa za istotnie niebezpieczne, gdyż ten zwierz przez psy ścigany, a niezabity na miejscu, z wściekłością się rzuca na myśliwego i walka z nim niemożliwa. Mój Anglik, jak mi opowiadał, znajdował się już między rogami dwóch bawołów i celnym strzałom kolegów swoich winien ocalenie. Ponieważ dość jest otyłym, położenie jego między rogami oba razy musiało być dość krytyczne. Żartobliwie zwróciłem na to jego uwagę, ale mi na to odparł, iż to się stało przed kilku laty gdy był jeszcze bardzo szczupłym. „Gdyby mnie przy dzisiejszej mojej tuszy podobna przygoda była spotkała, nieżyłbym już z pewnością“, — dodał z prawdziwie angielskim spokojem.

O zachodzie słońca wpłynęliśmy do Smirniańskiej zatoki. Smirna miłe sprawia wrażenie, port jej bardzo obszerny, wysokim murem zamknięty, przypomina Triest, ale jest o wiele piękniejszy. Zdaje się, iż się jest w europejskiem mieście. Czyste, schludne a nawet okazałe kamienice, ale w oryginalnym stylu, długim szeregiem opasują bardzo porządnie wybrukowane szerokie ulice nad portem, flagi wszelkich barw powiewają na statkach: istna Europa, przeniesiona pod cudne południowe niebo. Przykre mi to zrobiło wrażenie po chwili, wszakże nie Europę przyjechałem widzieć na Wschodzie. Wkrótce jednak to wrażenie rozgonił widok ludności tamtejszej, w najrozmaitszych jaskrawych i malowniczych strojach wschodnich. Bardzo pięknie wyglądają snujące się ustawicznie nad portem wielbłądzie karawany, a do szyi wielbłądów upięte dzwonki o najrozmaitszych tonach tworzą bardzo miłą i dźwięczną harmonię. Jestto nieustająca orkiestra Smirnieńskiego portu. Na czele takiej karawany Turek w turbanie, często w wyszarzałym, ale zawsze malowniczym stroju jedzie na osiołku, a ten osiołek jest wodzem wyprawy. Do niego przywiązane na długich postronkach kroczy jeden za drugim szereg kilkunastu a czasem kilkudziesięciu wielbłądów obładowanych i obarczonych ciężarami rozmaitymi, jakby szlachcic galicyjski podatkami. Te biedne zwierzęta kroczą nadzwyczaj wolnym krokiem, jakby na pół senne, z wyrazem rezygnacyi i ogłupienia, istne wyobraziciele biernych niewolników, a osiołek ich wszystkich wiedzie. Podobny widok przedstawia się nieraz oczom naszym i w Europie, że osioł liczne zastępy za sobą prowadzi, i wszyscy go słuchają i za nim idą jakby Smirniańskie wielbłądy. *Tout comme chez nous.*

W Smirnie gubernatorem jest Midhat Pasza, pierwszy a może jedyny dziś mąż stanu na Wschodzie, a znany przyjaciel Polaków. Zdawna było mojem życzeniem poznać tę znakomitą osobistość, a że to dawny przyjaciel i znajomy naszego wodza Kara Audzi, skorzystałem z tej sposobności, ażeby pod jego skrzydłami poznać Midhata. Przyznać się muszę do tej słabości, że lubo widok najwyższych dygnitarzy świata, ani monarchów nawet żadnego na mnie nie czyni wrażenia, to jednak widok ludzi wielkich, którzy czy to orężem, czy piórem czy w jakikolwiek inny sposób sławę sobie w świecie zdobyli, oczarowuje mnie zupełnie, i blask ich aureoli zaślepia mój wzrok. Z bijącem sercem oczekiwałem więc chwili, w której będę mógł się dostać do pałacu gubernatora Smirny. Audyencyę wyznaczono nam na godzinę 12tą. Pałac gubernatorski w Smirnie, jak go tu nazywają Konak, jestto gmach wspaniały, ale w europejskim stylu. Wewnątrz ma charakter orientalny, olbrzymie marmurowe wschody, sień wielka marmurowa ozdobiona pysznemi rzeźbami, w niej dzień i noc stoją na straży gwardye przyboczne gubernatora, wszędzie nad drzwiami zawieszone bogate perskie dywany. Przyjął nas naprzód pierwszy sekretarz gubernatora Wassyf-Effendi, europejczyk, człowiek nadzwyczaj przyjemny i wykształcony. Z niecierpliwości serce mi biło gwałtownie, tak oczekiwałem chwili, w której będziemy mogli się przedstawić gubernatorowi. Zaproszono nas nareszcie do audyencyonalnej sali. Midhat-Pasza jest to człowiek w sile wieku jeszcze, ale na twarzy jego wyryte są ślady cierpień i znużenia. Przyjął nas nie z zimną, sztywną grzecznością europejską, charakteryzującą zazwyczaj u nas mężów stanu, którzy się przypadkowo i niespodziewanie na taką posadę wzbili, ale z uprzejmością, która widocznie z serca płynęła, i która zdradzała człowieka przywykłego do życia w sferach najwyższych

społeczeństwa, i prawdziwie wielkiego pana. W długiej rozmowie rozbieraliśmy bardzo wyczerpująco przebieg rozmaitych spraw bieżących, i nadziwić się nie mogłem dokładnej i gruntownej znajomości jego co do stosunków naszych krajowych, w bardzo nawet drobnych szczegółach.

Treść naszej rozmowy nie wchodzi wcale w zakres pamiętników myśliwskich, dla tego o niej dla wielu powodów zamilczeć muszę, z przyjemnością jednak zauważałem, jaką przyjaźnią Midhat-Pasza otacza naszego kochanego wieszcza Karola Brzozowskiego, i z jakiem uwielbieniem wspominał księcia Adama Sapiehę, którego poznał za granicą. Gubernator najserdeczniej mnie zapraszał, bym go odwidził, i to na czas dłuższy, gdy będę powracał przez Smirnę, i ofiarował mi na pamiątkę swoją fotografię. Nieomieszkam się stawić na jego żądanie, jeśli tylko okoliczności na to pozwolą — takie było moje szczere postanowienie, i starałem się je później przywieść do skutku. Czyż mogłem się jednak wówczas tego spodziewać, że w trzy miesiące później, przejeżdżając przez Smirnę, zastanę ten sam pałac otoczony wojskiem, a tego samego Midhata, najpierwszego męża stanu na Wschodzie, pod zarzutem zdrady stanu, szukającego schronienia w konsulacie francuskim? Czyż mogłem się tego spodziewać, że liberalny, republikański rząd francuski nakaże swemu konsulowi, by wydał Midhata, który się oddał pod opiekę trójbarwnej francuskiej chorągwi?

Po tej mojej wizycie u Gubernatora, wyszedłem ze smutnem wrażeniem i pomyślałem o wierszu napisanym przez naszego wieszcza Kara Audzi, w poemacie: „Noc strzelców w Anatolii“:

Turcyo! Turcyo! — jesteś trupem,
Ty kramarzów będziesz łupem.

Dezercya w wojsku nie widziana: 150 dezerterów z bronią uciekło ze Smirny i teraz w górach żyją z rozboju. W Syryi wybuchnąć miały niepokoje między Druzami i Maronitami, ale te wieści nie miały żadnej podstawy. Gdyśmy wspomnieli gubernatorowi o naszym sułtanskim Firmanie, rzekł z uśmiechem: „To ostrożność zbyteczna, która panom tylko nie potrzebnego narobi kłopotu. Zaręczam, że przez całą Syryę wszerz i wzdłuż tak bezpiecznie przejść możecie, jakby w południe przez ulice Wiednia, Berlina i Paryża“.

Przekonaliśmy się później, że Midhat zupełną miał słuszność. Towarzysze nasi zwidzali miasto i mnóstwo nakupili drobnostek w bazarze, mnie zaś wizyta u Midhata zajęła cały ranek i miasta wcale nie widziałem, czego wszelakoż bynajmniej nie żałuję.

O godzinie 4tej wypłynęliśmy ze Smirny na pokładzie trzymasztowego francuskiego statku: „Scamandre“, na którym zastaliśmy wygodę i komfort niezwykły. Cóż za różnica z nędznym, chwiejącym się ciągle Lloydem austryackim, który nas wiózł z Warny do Konstantynopola! Morze pod wieczór zaczęło być niespokojne. Przypadłości owe, którym podlegają często na morzu ludzie stałego lądu, niewiem dla czego nazwano: „Płynąć do Rygi“. Jestto wyraz utarty, i między nami stał się niesłychanie popularnym w ciągu naszej wyprawy. Otóż wszyscy byliśmy na to przygotowani, widząc tak wzburzone morze, że w ciągu nocy taką odbędziemy żeglugę. Jednak statek nasz, jakby sam Neptun po wzburzonych falach, niby tryumfator, całą noc leciał, i choć kołysanka była dość silną, nasza kolonia polska dzielnie się trzymała, dwóch tylko naszych towarzyszy znowu po drodze popłynęło do Rygi, i to nie ci, którzy już tę podróż odbyli między Warną a Konstantynopolem. Ja nie podlegałem nigdy dotąd tej dolegliwości, ale się nie zarzekam wcale, droga do Rygi czasem niedaleka, i na morzu nikt wiedzieć nie może, kiedy tam zapłynie. Na pokładzie wielka ilość Turków, Greków i Czerkiesów odbywała tę podróż przez noc całą, i nieestetyczne dźwięki nad naszemi głowami ustawicznie nasz sen niepokoiły. Dziwna rzecz, że ci ludzie tak przywykli do morskiej podróży, tej chorobie tak często podpadają.

O wschodzie słońca byliśmy na Egejskiem morzu i wyspy skaliste Archipelagu greckiego na prawo wzbijały się stromo z morskiej kąpieli, po lewej ponure skały wybrzeża Azyi Mniejszej przypominają szczyty Tatrzańskie. Rzekłbyś, że ktoś szczyty Łomnicy, Zawratu lub Krywania tu osadził na morzu. Około południa przypłynęliśmy do wyspy Rhodos, i nasza piękna Scamandra majestatycznie zawinęła do miastowego portu. Pierwsze tu ujrzeliśmy palmy wspaniałe w miejskich ogrodach. Stare, bardzo już dziś uszkodzone fortyfikacye w morzu skąpane, zakończone szarym ponurym murem, jakby wiankiem port opasują.

(Ciąg dalszy nast.)

Zarybianie wód Galicyi w roku 1881.

PRZEZ

Dra M. Nowickiego.

(Dokończenie).

b) Dorzecze Dniestru.

12) Dniestr pod Samborem: 100 węgorząt, przesłało koleją Tow. ryb. a rozpuściła dnia 1 Maja publiczność, za staraniem p. Kazim. Barańskiego. Akt ten rybacki zpowodował zawiązanie się w Samborze Oddziału Towarz. ryb. dla górnego Dniestru.

13) Strwiąż pod Chyrowem: 3000 łososi i 4000 pstrągów, przewiozłem je koleją dnia 3 Kwietnia z Dubia do Chyrowa, a rozpuściła tu publiczność za staraniem inżyniera pana J. Załęskiego; przy tej sposobności zawiązał się Oddział Tow. ryb. w Chyrowie dla Strwiąża. Dnia 1 Maja znowu rozpuścił Oddział 100 węgorząt, które mu przesłało koleją Towarzystwa rybackiego.

14) Stryj pod miastem Stryj: 50 lipieni, rozpuścił Oddział Towarzys. ryb. w Stryju, reszta tego narybku zginęła w drodze z Dublan do Stryja, zkąd go profesor Dr. S. Kruszyński przesłał. Sam Oddział nie mający jeszcze urządzonej wylęgarni, nie mógł wychować narybku.

15) Mizunka pod Mizuniem: 3400 łososi i 2600 pstrągów, wychował i rozpuścił Oddział w Bolechowie, mający nadto jeszcze 7000 ikry lipienia na wylęgarni. Zaś c. k. dyrekcya domen i lasów kupiła 1000 węgorząt, i kazała rozpuścić w Mizunce.

16) Bystrzyca pod Stanisławowem: 400 pstrągów.

17) Staw. W Podhorcach: 300 pstrągów przesłał z Krzyża p. Habicht.

c) Dorzecze Prutu.

18) Prut: 10.637 pstrągów w Jamnie i Dorze, wychował i rozpuścił p. K. Obst. Oddział w Kołomyi ma 1500 ikry lipienia jeszcze na wylęgarni. Oddziałowi w Kutach nie nadeszły 2000 ikry lipienia, którą Tow. ryb. dla niego w Zipf kupiło.

Rozpuszczono więc już dotąd w r. 1881.

	W dorzeczu			
	Wisły	Dniestru	Prutu	Razem
Łososia bałtyckiego	120.410	6.400	—	126.810
Łososia kalifornijsk.	4.200	—	—	4.200
Pstrąga	114.023	7.300	10.637	131.960
Pstrąga amerykańs.	1.930	—	—	1 930
Troci	3 350	—	—	3.350
Bastarda z łososia i pstrąga	1.000	—	—	1.000
Lipienia	32.700	50	—	32.750
Salmo Lacustris	1.850	—	—	1.850
Salmo salvelinus	1.650	—	—	1.650
Węgorząt	—	1.200	—	1.200
	281.113	14.950	10.637	306.700

a pozostało jeszcze 14.000 ikry lipienia do wychowu.

Zarybianie miało na celu, jak w poprzednich latach, podnieść stan rybny w naszych wodach i przesiedlić łososia i węgorza do dorzecza Dniestru.

Ikra z Niemiec nam ofiarowana, szła wszystka przez cło w Krakowie, a pp. urzędnicy cła i poczty przyspieszali z całą uprzejmością jej expedycyą, zaś dyrekcye kolei żelaznych i panowie naczelnicy stacyi ułatwiali najżyczliwiej przewóz narybku, i tej to głównie względności zawdzięczamy tegoroczny skutek naszej pracy rybackiej.

Zarybienie odbyło się wszędzie uroczyście, brali bowiem w niem udział miejscowi dostojnicy, młodzież szkolna, obywatele, mieszczanie i włościanie płci obojga; wielebni duchowni poświęcali i błogosławili narybek, c. k. Starostowie, prezesi rad powiatowych, burmistrze, wójtowie przemawiali do zgromadzonej publiczności, która w końcu przy odgłosie muzyki i wystrzałów własną ręką rozpuszczała narybek. Wszędzie objawiano dobre usposobienie dla sprawy rybackiej, jedynie włościanie okazywali obawę o postradanie wód, które im zarybiono.

Nauka rybactwa, której udziela w Czernichowie pan Dr. Chwalibóg, a w Dublanach profesor Dr. Kruszyński, została praktycznie poparta przez wychów narybku lipienia z ikry, przeto uczniowie poznawszy go nie potrzebują już zwiedzać w tym celu zakładów rybnych.

Rybak Franciszek Dorula w Poroninie urządził się do dostarczania zalęgłej ikry łososia, pstrąga, lipienia, i bastarda z łososia i pstrąga, a to o połowę taniej, niż inne zakłady rybne, i zrobił już w tej mierze dobry początek, rozesławszy w Maju kilkanaście tysięcy ikry lipienia.

Narybku karpia zamówiło Tow. ryb. 60 kóp po 1 zł. 20 c. u p. Dąbskiego dla zarybienia naszych wód wschodnich, ale nie zażądano go ztamtąd na czas, przeto musiano cofnąć zamówienie. Zamierzonego przesiedlenia czeczugi z Dniestru do Wisły, nie zdołano uskutecznić.

Co do skutku zeszłorocznego zarybienia, nadeszło kilka pomyślnych doniesień. Tak oznajmił Dr. Nowakowski, że w Suchej dorosły łososie do 4, a pstrągi do $2\frac{1}{3}$ cala; według pana Treszki żyją pstrągi w stawie w Słotwinie, a według pana Habichta darzą się karpie w Dunajcu; c. k. Staroście p. Beneszkowi doniesiono, że widziano pstrągi w kamienistych potokach koło Nowej Grobli, gdzie ich przedtem nie było; według Dra Kruszyńskiego darzą się karpie w stawku w Dublanach, zaś rybacy krakowscy spotykają dosyć łososi we Wiśle, czego dawniej nie bywało.

Ostatecznie wszakże powodzenie sprawy rybackiej jest zależnem od ustawy rybackiej. — Daj więc Boże, aby Sejm ją tego roku uchwalił!

Poronin dnia 12 Czerwca 1881 r.

BURZANY UKRAIŃSKIE

PRZEZ

Marcelego hr. Tyszkiewicza.

Pisałem o amatorskiem polowaniu na zająca, obecnie pragnę opowiedzieć, jak u nas polują w „burzanach“ na wilki i lisy, nim jednak do tego przedmiotu przejdę, muszę objaśnić, co to są i jak wyglądają ukraińskie burzany. Naprzód trzeba wiedzieć, że to, co rośnie na ugorze, nazywają u nas burzanami, a co na stepie, komyszem. Przed dwunastu laty prowadzono po największej części na Ukrainie cztero-polowe gospodarstwo, jedna zmiana była oziminy, druga jarzyny, a trzecia i czwarta przez dwa lata leżały ugorem. W pierwszym roku ugoru wyrastają różnego rodzaju osty, u nas bodiakami zwane, dochodzą one wysokości jeźdźca na koniu, czasem bywają grubości ręki a wyglądają jak las. Żeby módz w drugim roku orać na par, to je wiosną gdy są dalej ode wsi palą, a gdy bliżej wyrębują. Pomiędzy bodiakami są szparagi, bulby i inne zielska. Komysz tworzą wysokie i miękkie trawy, jak tywsa, mietlica i inne, a także wybujałe zioła, których nazwy podaję, lecz nadaremnieby kto ich szukał w księgach botanicznych, znam je tylko z ust Ukrainek, są to: miłostki, lubystki, sen ziele, dziewanny, młodostki, peretrystki, macierzanka, kopytnik, rozchodnik, mołoczaj, zajęcze, wilcze i lisie kapusty i wiele innych jeszcze. Burzany a nawet komysze na stepie nie wszędzie zarastają jednakowem zielem, chociaż przeważnie na Ukrainie osty wyrastają, ale pod Mohylną jest rodzaj niskich bodiaków, które w jesieni zasiewają po polach masę małych komyszków z drobnymi ale ostrymi kolcami, że chart byle przez takie pole przeszedł, to już pełno ich ma na piętkach, poczem puchną mu nogi i przez dni kilka ścigać nie może; to też charciarz jak się raz na tem sparzy, z daleka to pole objeżdża.

Burzanów spotyka się u nas w dziewiczym stepie po sto i dwieście morgów, bo szlachcic chcąc przysporzyć grosza, orze step najętymi pługami, siejąc w pierwszym roku len, w drugim pszenicę, a potem zapuszcza. W drugim roku burzany takie są już mniejsze, w trzecim jeszcze mniejsze, aż po kilku latach przechodzą w normalny stan to jest w gęstą pożywną trawę, niezbyt wysoką, na której wypasają się owe sławne ukraińskie woły. W takich to burzanach wywodzą się wilki i lisy, a polowanie odbywa się jak w lesie. Wokoło rozstawiają szczwaczy, we środek wpuszczają psy gończe i kilku dojeżdżaczy w skórzanych ubiorach. Rzeczą dojeżdżacza podkładać psy, razem z nimi zmusić zwierza, by wyszedł w czyste pole, a jak wyjdzie, psy nazad zawrócić i podłożyć na nowo. Wtedy to dopiero rozkosz być na dobrym koniu! Gdy charty wilka nie biorą, to trzeba go sforsować, a stary wilk pójdzie i do trzech mil. Najłatwiej forsuje się sarna, po niej zając, po zającu wilk, a najtrudniej zforsować lisa, on bowiem do pięciu mil idzie, i to nie prędkim ale równym i wytrwałym krokiem. To też u nas nikt go nie forsuje, na to mamy charty, by go w mgnieniu oka doszły i wzięły. Kozacy jeżdżą na kulbakach, panowie i dojeżdżacze na angielskich siodłach. Kulbaka jest wygodna i ja zamłodu jeździłem na czerkieskiej kulbace, takiej samej jak kozacka. Ma ona z przodu kulę, z tyłu podobna do tureckiego siodła, tyko niższa, bez oparcia. Do kulbaki dobrze troczy się zwierza, bo koń podpięty jest mocno trzema pręgami i siodło się nie przesuwa. Poduszeczka skórzana miękka jest właśnie trzecią popręgą podciągnięta. Wszystkie rzemienie są czarne, tręzla kozackiego konia jest z szerokiego czerkaskiego rzemienia i tak nazwany czambur. Długi powód z końskiego włosia upleciony służy do uwiązywania osiodłanego konia przy żłobie, a gdy kozak na koń wsiada, za pas go zakłada, albo pod poduszkę, a wtedy wisi wolno i dość długo od uzdeczki aż do siodła. Harap szczwacki lub dojeżdżacki ma krótki gruby trzonek zakończony buławą z długim rzemiennym, plecionym batem, z nakońcem z końskiego włosia a czasem z jedwabiu, żeby głośniej trzaskał. Buławki często są ołowiem napuszczane, to już na wilka. U każdego myśliwego w trokach są skórzane trynogi, bo jak się zdarzy w stepie, że trza przekąsić i wypocząć, to puszczają tak spętane konie, które swobodnie mogą się paść, ale ani się położyć, ani uciec. Strój szczwacza kozaka jest kurta ciemno-granatowa, szerokie jasno-szafirowe spodnie w buty, żółty jedwabny pas i takiż kołpak na czarnej baraniej czapce. Ale nie wszyscy jednakowo ubrani, bo panowie podług koloru liberyi kozaków stroją. Oseledec to jest kosa wiązana czy pleciona, którą kozak z lewej strony za ucho zakłada, już za moich czasów wychodził z mody. Jeszcze starzy kozacy nosili i nie chcieli ich się pozbywać. U mnie trzech jeszcze takich było: Gabro, Semen i Oleksa. Kozak dworski nosił od parady kontusz na wyloty i żupan, a na codzień był jak szczwacz ubrany. Przejdźmy do polowania.

Polując w burzanach, czem więcej koni i szczwaczy tem łepiej, bo to trzeba kilkaset morgów w około obstawić, dla tego zbieramy się często i w kilkadziesiąt koni. U nas młodzież jeszcze nie jest rozpieszczona, bywało i w małym domku kilkunastu nas tydzien przepędzi, a każdemu dobrze, bo wesoło, w dzień na koniu, wieczorem przy kominie, a w nocy pokotem na sianie, byle koniom i chartom była wygoda, dla tego też u nas stajnie wyglądają jak pałace, a domy jak oficyny przy nich. Serdeczność gospodarza wszystko znaczy, reszta niczem, to też gościnność u nas jest prawdziwie staropolska. Tam nie zobaczysz znudzonej twarzy i wymuszonej etykiety, tam widzisz i czujesz, że ci gospodarstwo całem sercem i czem chata bogata są radzi. — Wieleż to razy wyjechałem na kilka dni w sąsiedztwo z końmi i chartami, a bawiłem kilka tygodni i dłużej, bo sąsiad zabrał mnie dalej, tamten znowu dalej, a tak co raz dalej a co raz więcej nas przybywało, aż w końcu w kilkadziesiąt koni wyjeżdżaliśmy w step. Wieczorem muzyka, tańce i z rozmarzoną głową a często i sercem szło się spać, żeby dalej we śnie marzyć to o pięknych oczach, to o wilku wymykającym z burzanów i huż! huż! a tak wszystko razem zmięszane a tak miłe sercu. Aż o świcie budzi nas Konstanty Z... pieśnią: „Kiedy ranne wstają zorze“, wtedy musi mu każdy chociaż zaspanym głosem wtórować, potem raźno z pościeli wyskoczy, ubiera się i na koń. Na Ukrainie prawie wszyscy zrana piją herbatę, starka wódka i przekąska zawsze jest w trokach u kozaka, a jak się na kilka dni wybierano, to kucharz wózkiem dojeżdżał i obiad w umówionym futorze wieczorem nas czekał. Spało się w stodole na sianie, a konie po wojskowemu rozpięte przy sznurze i po kolei jeden kozak na warcie. Takie to myśliwsko-hulaszcze życie pędzono na Ukrainie za moich czasów. Przeszło to jak sen, ale wspomnienie na zawsze miłem zostanie, chociaż i te wspomnienia czasem jak zmorę odpędzasz, bo wiesz, że już nigdy nie wrócą. — Milcz serce, dość już kwilić, wracajmy raczej do burzanów!

A więc działo się to w roku... już dobrze nie pamiętam. Zawsze jednak przed dwudziestu laty, w końcu Oktobra pod Humaniem u pana F.... Było nas zebranych kilkunastu młodych ludzi, a co najmniej miał każdy ze sobą dwa wierzchowe konie i parę chartów. Podemną była Stella, kobyła Hojeckiego stada, a pod Wasylem Seglawi stada Żurowskiego, i dwa moręgowate duże charty miotu Sokołowskiego, dobre do zająca i lisa a i wilka brały z pasyą. Już od paru tygodni byliśmy proszeni do pana F..., u którego na stepie w burzanach było gniazdo wilków, i takeśmy się urządzili, że polując w sobotę wieczorem, zajechaliśmy na jego dziedziniec w kilkadziesiąt koni i z czternastoma smyczami chartów. Na ten widok, chociaż byliśmy spodziewani, wszystko co żyło wybiegło z domu, bo widok to był nie lada, konie i charty prześliczne a kozackie ubiory panów i szczwaczy jak również rzędy końskie bardzo bogate, przytem dwa lisy i siedm zajęcy w trokach. W Niedziele na Ukrainie nie polują, a cośmy wtedy gawędzili dobrze nie pamiętam, ale zapewne o polowaniu i siwych oczach panny Z..., przytem sądy arbitrów dotyczących zakładów charcich. Pamiętam, że wówczas przedstawiono paniom charta pana Ksawerego Z...., który pomiędzy wszystkimi palmę zwycięstwa otrzymał. Próbowanie rysaków, spacer z paniami, dość, że tak nam przyjemnie czas zeszedł, żeśmy się nie opatrzyli, jak Poniedziałek zawitał, i Konstanty Z... zwykłym sposobem nas pobudził, a żeśmy w kilku pokojach przy odemkniętych drzwiach spali, więc spiewy zabawnie się odbijały. O ósmej ruszyliśmy w pole. Wcześniej nie można było, bo stare wilki nie miałyby czasu ściągnąć do burzanów. Na szesnaście smyczy chartów, bo dwa przybyło gospodarza, trzy dobrze tylko brały wilka, dwie nie źle oszarpywały, a reszta albo nie brała, albo nawet wcale w oczy wilka nie widziała. Pamiętam dzień był jasny, cichy a jak na koniec Oktobra dość ciepły. Żeby nie tracić czasu, zaraz za wsią rozjechaliśmy się, bo do burzanów była dobra ukraińska mila. Gospodarz prowadził polowanie i ledwo sto kroków ujechaliśmy ściernią, aż zając od Ksawerego chartów jak z pod ziemi się wyrwał, a chociaż ze sto kroków był wypuszczony, nie długośmy się cieszyli jego widokiem, bo pies dał obrot a suka chwyciła w pysk. W minutę już ruszyliśmy dalej. Nim dojechaliśmy do stepu, jeszcze dwa zające

uszczuto. Już zdala zaszarzał burzan. Rozkaz dano, żeby nie puszczać chartów za zającem, i z ornych pól wjechano na step. Nie wiem jak komu, ale mnie mocniej serce zabiło, jakeśmy się zbliżyli. Na dany znak wstrzymano konie na jakie tysiąc kroków od burzanu, gospodarz po nad linią przejechał, szczwaczy podzielił, a gdy machnął ręką ruszono. Prawo-skrzydłowy zwrócił konia w prawo, lewy w lewo i zaczęto z daleka objeżdżać burzan. Kilku w miejscu zostało, tylko rozjechali się na kilkaset kroków od siebie, żeby zachować równy dystans między szczwaczami. Ja z Wasylem należałem do prawego skrzydła i jechaliśmy razem w ślad za innymi, bo on charty prowadził. Kawał przejechawszy powrócono w lewo, a kiedy prawo-skrzydłowy zjechał się z lewo-skrzydłowym, zwrócono konie do środka, wyrównywując odległość pomiędzy szczwaczami. Burzanu było do dwiestu morgów, tylko ze sto było gęstego, zresztą rzadki. Figura burzanu była podłużna. Stałem z Wasylem pod samym burzanem, na wzgórku na niewielkim okopie. Przed laty była tam sterta siana, miejsce to podniesione tak, że kawał stepu za burzanem widzieć można było. Właśnie dwóch dojeżdżaczy Kazimierza Ab... w sam środek gęstego burzanu podprowadziło dwanaście swor gończych. — W jednej chwili ze swór je puszczono a po krótkiem otrąbieniu — dalej — ha! odezwały się głosy. I kiedy cały wzrok i słuch natężam, widzę z przeciwnej strony, jak dwóch jeźdźców pomknęło i słyszę: huż — huż! Nakoniec i wilk się pokazuje, a za nim dwa charty, ale się nie zbliżają. Poznałem, że nie biorą i udają, że nie mogą dopędzić. Pomknęło jeszcze trzech jeźdźców i dwa charty, ale już dalej nie patrzyłem, bo gończe zagrały, a głosy ich niosły się ku mnie. Raptem może na pięćdziesiąt kroków od nas duży wilk jednym susem wyjechał z burzanu w step. Jak dziś widzę go pomykającego ze spuszczoną głową, rzucającego na nas z pode łba swój podły wzrok. — Huż — huż! krzyknęliśmy w jeden głos, a charty już go dochodziły. Pierwszy Łap-cap porwał za zad i przewrócił, wilk zrywając się otworzył pysk, żeby się odgryść, kiedy z drugiej strony Ścinaj porwał pod ucho i w miejscu osadził. I zdaje się, że w tejże już chwili Wasyl siedział na wilku i trzymał go za uszy, a za nim stał wolno Syglawi i chrapał. Ja także puściłem kobyłę, a odwiązawszy harap Wasyla z ołowiem, zadałem taki raz w nos wilkowi, że zdaje się nagle żyć przestał, bo ogon wyprężył, ale jeszcze kilkanaście razów dostał. Cała operacya krótko trwała, chociaż wilk był duży zalatek, samiec. Utroczywszy go do Seglawiego, podjechaliśmy na swoje stanowisko. Z prawej strony odemnie stał pan R.... koło swego szczwacza, ale charty jego wilka nie brały. Z lewej pan B...., którego polska smycz chartów doskonale brała. Gończe goniły, aż burzan trzeszczał i zdawało się, że znowu wilk na mnie wyskoczy, ale o kilkadziesiąt kroków koło mnie przeszły i sąsiad z prawej strony krzyknął: huż — huż! a wiedząc że charty jego nie biorą, krzyczę do Wasyla puszczaj! i kiedy charty wilka zobaczyły i poszły, a my także końmi pomknęli, coś mi się z boku mignęło. Rzucam okiem w prawo za siebie, widzę ogrom wilka już z kilkadziesiąt kroków na stepie. W tejże chwili powracam Stellą za nim i z całej siły krzyczę: huż — huż! żeby charty odwrócić, lecz już za późno, bo tamtego wilka dobrze widzą i równają się z koniem pana R...., ale słyszę głos pana B...., a będąc pewien, że on przyszczuwa, jadę, ale już dobry kawał ujechałem, a psów nie widzę. „Ha! mówię do Stelli, to i będziem forsować kobyłko!“ i choć ją w cuglach trzymam, wilk się nie odsadza i czuję, że jak trochę pocisnę to go dojadę, ale o to mnie nie chodzi, bo żeby zforsować wilka, trzeba go naprzód tak umęczyć, żeby on z wywalonym językiem stanął i z miejsca ruszyć się nie mógł. Wtedy tylko można go zabić. Żeby mu dodać strachu, od czasu do czasu krzyknę albo trzasnę z harapa i dalej pojeżdżam. Już z milę ujechałem, wilk parę razy przystawał, ale jeszcze szedł raźno, kobyłę jednakże czułem pod sobą zupełnie świeżą. Dopiero na drugiej mili wilk język dobrze wywiesił i zwolniał, a Stella z potu zaczęła ostygać, chociaż ze stulonemi uszami i z większą jeszcze pasyą szła na wilka. Po drugiej mili wowyra szedł małym galopem, a ja za nim kłusem podpędzając końcem harapa, a widząc zdala karczemkę ciąglem go ku niej nawracał i tak aż pod samą karczmę. Wilk siada, opiera się o nią, ja zaś z kobyły i do niego. On klamsnął raz zębami, a widząc, że śmiało idę, a ugryść nie może, język wywalił, cofa się zadem. Natrafia na odemkniętą bramę, więc do sieni i włazi pod żłób! Ja za nim, bramę prędko zamknąłem, wtedy przez drzwi wpadam do szynkowni, porywam za koromesło a widząc dwóch ludzi siedzących przy kieliszku, krzyczę wybiegając nazad: „Chodźcie bić wilka!“ Nie wiem jakie na nich ten niespodziewany wykrzyknik zrobił wrażenie, jednak dość czasu przeszło, nim się do kijów wzięli, ale trzeba im oddać tę sprawiedliwość, że dobrze młócili, bo musiałem kilka razy upomnieć by przestali. Uch! z jakąż przyjemnością wypiłem kieliszek siwuchy. Ludzie ci pomogli mi wsadzić wilka na kobyłę, którą już w ręku traktem doprowadziłem do wsi, oddalonej o dwadzieścia ośm wiorst od tego miejsca. Pod zachód słońca wszedłem na dziedziniec. Myśliwi tylko co z polowania wrócili i stali na ganku. Toż dopiero zmięszane zapytania, odpowiedzi bez porządku, aż zjadłszy obiad, przy czarnej kawie porządnieśmy się rozmówili. Dowiedziałem się, że pierwsza była szczuta stara wilczyca dwoma smyczami chartów, które nie biorą. Trzech panów i dwóch szczwaczy ją forsowało, poszła ze trzy mile do gęstego lasku. Przy końcu tylko jeden pan Z... na Sangoszkowskim koniu był przy niej i mówił, że jeszcze lekko rów przeskoczyła. Potem opowiadał pan B..., że kiedy puściłem charty za wilkiem R...., a zwróciłem kobyłę za starym, on w tejże chwili poszczuł zalatka samicę, i że jego polski chart piersiami ją przewrócił a suka pod ucho porwała, pan Z... znowu jak młodego wilka szczuł, jak go zawrócił nazad do burzanu, a potem jak charty razem z gończymi nasiadły go i jak dojeżdżacz jakoś źle wilka za uszy porwał, bo ten go mocno w rękę skaleczył, ale że dopóty nie puścił, aż go dobito. Pan R.... zachwycał się moim Scinajem, że tak sławnie trzymał młodego wilka pod ucho, i że ma nadzieję, że jego psy zaczną teraz brać, zaprawione przez moje. Jeszcze dwóch panów i dwóch szczwaczy sforsowało młodego wilka, bo charty brać nie chciały. Koniec końców! polowanie znakomicie się udało, sześć wilków zginęło, mało kto nie szczuł, na jedną tylko stronę wilki zupełnie nie wychodziły, a miejscem, którędy stara wilczyca wyszła, wymknęło jeszcze kilka bez szczucia. Było więc o czem mówić nie tylko tego wieczora, ale i długo potem. Przez kilka dni polowaliśmy u pana F... Na trzeci dzień zwidziliśmy te same burzany, wilków nie było, ale zatkawszy jamy, uszczuliśmy jedynaście lisów. To była zabawka na cały dzień. Ale potem o tem, a teraz o wilkach. Nieraz doświadczyłem, że najsłabsza strona wilka jest nos. Bity zaś w głowę kijami albo kłuty kordelasem, jeszcze długo żyje. Widziałem takie zdarzenie: Polowaliśmy u pana St... Ab... koło Strokowa w kniei „Bezwodnik“ zwanej. Z trzech stron były rzucone siecie, a czwarta od stepu zostawiona dla chartów. Było ich kilkanaście trójek polskiej rasy hrabiego B... R... Ja moich chartów nie miałem i byłem ze strzelbą, ale pasya przemogła, więc

zostawiwszy strzelbę, wziąłem konia od kozaka i wyjechałem na step. Stanąłem koło hrabiego Konstantego, pod nim był bardzo ładny koń kary, półsiedmnastej miary, czystej krwi anglik, a przy nim szczwacz trzymał pojedyńczo na smyczy cud piękności czarnego charta „Atłasa“, gładkiej polskiej rasy. Jak dziś pamiętam, ledwie się otrąbiono i psy zagrały, wyleciała w step stara, wysmukła wilczyca i szła po nad linią szczwaczy, a każdy swoją trójkę puścił jej w oczy. Ona tylko psy wyminęła, odsadziła się i tak doszła do nas, zostawiając całą zgraję psów daleko za sobą. Puszczono i Atłasa, a ten był tak rączy, że hrabia Konstanty proponował zakład z psowymi chartami na pierwszy obrót na zająca, przytem pojedyńczo brał wilka. Atłas doszedł wilczycę i porwał ją za zad. Wyrwała mu się i trochę odsadziła, wtedy pies poprawił się, doszedł drugi raz, porwał ją i wstrzymał. Wilczyca zwróciła się, by się odgryść, kiedy w tejże chwili Atłas puszcza zad, porywa pod ucho i w miejscu osadza, wtedy dopiero reszta ją chartów dochodzi i nasiada. W momencie szczwacz już trzymał wilczycę za ogon, duży swój kordelas wraził w tył i kilka razy zakręcił. Niedosyć na tem, przewraca ją na lewy bok i w miejsce gdzie serce, przeszywa na wskróś trzy razy. Zabrano charty na smycze a wilczyca leżała bez życia, i kiedy tak jeszcze na nią patrzymy, przybiega od sieci kacap i trąca ją nogą w głowę. Widząc to pan Ig... Pod.... mówi: „Bądźno ostrożny, bo mogłaby się przytaić“, więc ten bierze ją za uszy i podnosi. Wtem wilczyca wyrywa mu się z pomiędzy nóg, wywraca go i całym pędem, jak gdyby nic jej nie było, idzie ku rudzie. Wszystkie charty puszczono znowu, które wilczycę rozciągnęły, a jeszcze dużo kordelasów i kijów wzięła, nim życie zakończyła.

Ten Bezwodnik przypomniał mi zabawne zdarzenie, które choć z charciem polowaniem nie ma nic wspólnego, ale że mowa o wilkach, przywiodę. Polowano w tej samej kniei, tylko ze strzelbami. Już dobrze nie pamiętam, ale na coś trzeba było hrabiemu Wł.. Br.... żywego starego wilka, zdaje się, że na jakieś wielkie polowanie. Na Bezwodniku miałem ja swoje uprzywilejowane stanowisko, na które nikt się nie chciał przebrać, bo trza było brnąć błotem, aż się wychodziło na suchą łąkę, blisko rzeki, po nad którą były rzucone siecie. Ile razy tam polowałem, zawsze pierwsze strzały były moje do starego wilka. Chorąży Sieniński wskazał mi to miejsce i od tego czasu zawsze tam stawałem. Wiedziano o tem, a Seweryn Ab..., który prowadził polowanie chcąc, żeby starego wilka nie zabito, a złapano w sieci, robi mi taki żart, że kiedy poszliśmy na śniadanie, a już strzelba moja była nabita, szpilką wybiera z kominków proch, wpycha po kawałku łoju i prochem takim jak mój po jednej prószynie zakłada. Mnie nawet na myśl ta sztuka nie przychodzi. Staję na mojem stanowisku i nim się otrąbiono, wylatuje na dwadzieścia kroków stara wilczyca. Mierzę, psztyk! z jednej i z drugiej lufy, zaglądam do kominków i widzę tłuszcz. Odrazu zrozumiałem, w momencie wykręcam strzelbę, nożem robię kołeczki, zabijam w kominki, nakładam pistony, przestrzelam, nabijam na nowo i jeszcze zabijam dwa młode wilki. A miałem ten zwyczaj, że zabiwszy wilka, ogon odcinałem i do torby. Miałem kollekcyę ogonów wilczych w domu, a na polowaniu każdy jak zobaczył kucego, wiedział, że to mój. Przytem czyniłem to i dla kontroli, bo już zdarzyło mi się tak, że spisywano, kto co zabił i pokazało się, że o trzy wilki więcej zabito, jak było. Po skończonem polowaniu, kiedy opatrywano zabite wilki, hrabia Wł... mówi: „Widzicie ja nie chciałem zabijać, tylko do sieci zapędzałem, ot na dowód odstrzeliłem dwom wilkom ogony“, a chorąży Siemiński śmiejąc się odpowiada, a Tyszkiewicz te ogony pozbierał i wyciąga je z torby“.

Wracam do chartów. Tymi kucymi psami Scinajem Łapcapem uszczułem siedmnaście wilków. Były to doskonałe psy. Pierwszego zalatka szczułem niemi u Ka... Ab... na Zielonej Rudzie pod Niemieżyńcami. Pamiętam polowaliśmy we dwóch, moich było trzy smycze chartów, jego ośm. Gończe były młode i wilka jeszcze nie goniły. Stałem z nim na górze a psy w Rudzie goniły lisa. Wtem na drugiej stronie słyszę głos Wasyla: huż — huż! i w tej chwili widzę na rzadkiej dębinie, jak Scinaj dochodzi wilka, porywa za zad i przewraca. Ten się zrywa i w nogi — i tak się ciągle powtarza, a Wasyl na szpakowatej kobyle stada Hojeckiego zbliska przyszczuwa. Wilk idzie po nad Rudą, a gdzie się łozy kończą przeskakuje rzeczkę, Wasyl za nim, a tak przychodzą na naszą stronę, idąc ku niezbyt gęstemu burzanowi. Bierzemy więc go we trójkę i co charty chwilę przetrzymają, to nim Wasyl z konia zeskoczy, wilk wyrwie się i dalej. Nakoniec po dwudziestu minutach udało się Wasylowi wilka złapać za uszy, a nam go zabić. To był pierwszy, ale tejże jesieni jeszcze dwa nimi uszczułem. Drugi był stary i pomimo, że się kilkanaście razy wyrywał, nakoniec Scinaj tak złapał go pod ucho, że choć wilk jeszcze wlókł go z kilkanaście kroków, to jednak Wasyl mógł się na wilka dostać i za uszy złapać. Trzeci był młody i tak go psy jak lisa rozciągnęły. Ale nigdy nie zapomnę, jak te śmiałe i zawzięte charty uciekały raz od wilków. Było to w końcu Lutego. Mróz jakoś trzymał i śniego było dosyć. Po śniadaniu kazałem Markowi założyć do sanek parę koni wziąłem Łapcapa i Seinaja i wyjechałem na lisy. Już kilka godzin jeździłem, aż koło Harzyńskich jarów widzę zdaleka — siedzi lis. Podjeżdżam bliżej, przypatruję się, a to nie lis ale wilk. Ha! myślę, to i lepiej i podjeżdżam go na pięćdziesiąt kroków, podnoszę baranicę i huż — huż! Psy z sanek i za wilkiem, kryją się w jar, ale nim ja ruszyłem końmi, widzę, że moje charty tym samym pędem biegną do sanek, a za nimi pokazują się z jaru trzy głowy wilcze. Ja krzyczę huż — huż! i jadę, ale ledwie wyjeżdżam na pagórek i spojrzę na dół, a tam wilków całe stado; może na dwieście kroków odemnie. Jedne siedzą, drugie bawią się i leżą, więc ja cichutko konie zwracam w prawo. a jak tylko tak zajechałem, że mnie już nie widziały, puszczam czwałem i tak z werstwę odjeżdżam, ale widząc, że nie gonią, wstrzymuję i patrzę z daleka, jak jeden za drugim wychodzi na przeciwną stronę góry. Po śniegu dobrze widać, naliczyłem dwadzieścia ośm.

Scinaj i Łapcap byli pędowymi, i jak wpadły na świeży trop zwierza, to trudno było je na smyczy utrzymać, czy to po śniegu, czy po czarnej stopie. Jedno takie zdarzenie opowiem. — Wyjechałem raz w Październiku na zająca we cztery konie, Wasyl na Seglawim prowadził Łapcapa i Seinaja, Karpo na smyczy Szablę i Szaszkę, które były w pierwszem polu, Gabro, kozak, na młodym koniu, a ja na mojej Stelli, (o której przy końcu parę słów osobno napiszę z przeproszeniem pana Redaktora, który powiedział, że rozprawy o koniach nie przyjmuje, ale to była myśliwska kobyła, którą znała cała Ukraina, a i część Galicyi) — jedźmy dalej. Był to piękny ranek, słońce jeszcze nie zeszło, ale już po jasnej obwódce na niebie poznać było można, którędy wypłynie, rosa była obfita. Tylko cośmy się za wsią ponad jarem rozjechali, gdy Wasyl puszcza charty i te całym pędem idą. Patrzę naprzód, nic nie widzę, ale pomykam za nimi, i pytam Wasyla, za czem puścił. „Ale gdzie tam ja je puścił, — odpowiada, one się same zerwały“ — i tak jedziemy z dobrą werstwę za chartami,

ciągle mając je na oku. Aż charty kryją się w jary; wybiegam na pagórek i widzę zdala coś jak człeka na koniu, a za tym jeszcze dobry kawał idą charty, ale tak idą, jakby coś ścigały. Mocno zaciekawiony, coby to mogło być, pocisnąłem Stellę i kiedy charty zbliżyły się, widzę, że jeździec spadł, a koń dalej pomyka. Dopiero kiedy charty zrównały się z tem koniem, poznałem, że to wilk. Nie długo się odgryzał, bo nim dojechaliśmy, już go psy mocno trzymały. Po uporaniu się z wilkiem, pokazało się, że on niósł owieczkę na karku i dla tego z daleka do słońca miał tak niezwyczajną figurę.

Zapewne u niektórych czytelników „Łowca" ustęp o wilku w karczmie wywoła uśmiech na ustach, a nawet tak jak gdy jednemu panu czytałem, homeryczny śmiech, ja jednak upewniam o tem, bo kto wilka forsował, a nawet kto zna jego naturę, wie, że pędzony idzie tak jak lis do wsi i wskakuje do chlewów, chat i na jakieby zabudowanie natrafił, byle się schować przed ludźmi i światłem, bo wilk jest wielkim tchórzem, różne też anegdoty o jego bojaźliwości chodzą. Jest jedna pora w roku, w ktorej razem się włóczą i wtedy są śmiałe i niebezpieczne nawet dla myśliwych, ale i ta jego śmiałość jest nie normalną, bo podniecaną bywa namiętnością, a byle miesiąc Luty przeszedł, to znowu do swej bojaźliwej natury powraca. Ale nawet i w Lutym nigdy o dziennych napadach nie słyszałem. Widocznie słońca nie lubią. Słyszałem o zdarzeniu dość zabawnem, iż raz gdy chłop przed wilkami schował się do kopicy siana, jeden z wilków zaczął się o tę kupicę ocierać, wtedy chłop łapie wilka mocno za ogon i z całej siły krzyczy „hutiu!" Wilk z przestrachu chłopa całkiem obryzgał, ale w tejże chwili zdechł. Opowiadał mi też skrzypek wiejski, że w miesiącu Lutym wracał z drugiej wsi z wesela w nocy i został obskoczony w polu przez kilkanaście wilków. Jak sam mówił, był bardzo pijany, ale w momencie wytrzeźwiał i przyszła mu myśl, zagrać im na skrzypcach a już było z nim bardzo kręto. Jak zagrał, wilki poodskakiwały, i trzymały się z daleka, a gdy przestał, znowu do niego się zbliżały. I tak musiał im przegrywać do białego dnia, aż ktoś nadjechał i na w pół żywego z przestrachu i zimna zabrał ze sobą. NB. Nic nie wiedział o historyi skrzypka niemieckiego, którego strzelec Jakób wyciągnął w wilczéj jamy.

(Dokończ. nastąpi).

KILKA SŁÓW O SYSTEMACH BRONI ODTYLCOWEJ

NAPISAŁ

Kazimierz Remiszewski.

W obec tylu różnorodnych zdań o dobroci i praktyczności różnorodnych systemów broni odtylcowej, mimowoli nasuwa się nam pytanie, który też system rzeczywiście jako najlepszy uważany być winien? — Odpowiedzi na powyższe pytanie jest tyle, ile jest punktów widzenia rzeczy, u jednego myśliwego przeważa ten wzgląd właśnie, który u drugiego żadnego wcale nie ma znaczenia. W zasadzie pod każdym względem broń odtylcowa przewyższa odprzodową, gdyż dobroć strzału odtylcówki zawisła od myśliwego, który przez stosowne zrobienie naboju zwiększyć może siłę tarcia przybitki o ściany lufy i tem samem spotęgować ostrość i donośność strzału. W tym też względzie wszystkie systemy odtylcówek byłyby jednakie, gdyby nie ta okoliczność, że niektóre z nich utrudniają a nawet uniemożliwiają dobre zrobienie naboju, i że szybkość i jednostajność zapalania się prochu wielce od samego systemu zawisła, wielce też jest różną. Im szybciej i jednostajniej masa w naboju zamkiętego prochu się spala, tem ostrzejszy i donośniejszy będzie strzał. Tu jednak nadmienić należy, że uwagi powyższe tylko śrótówek dotyczą, w gwintówkach (sztucerach) zaś działają zupełnie inne czynniki. — Wielokrotne doświadczenia pouczają nas, że długość luf nie powinna być mniejszą od 26 cali, nie większą zaś od 32 cali. Tylko w tych granicach długość jest stosowną, zadługie strzelby są niewygodne, za krótkie zaś źle biją. Większy wpływ na dobroć strzału ma wnętrze lufy. Pomijając kaliber (objętość wylotu), gdyż ten przy stosownym naboju małą odgrywa rolę, bardzo ważną jest rzeczą, aby średnica lufy począwszy od komory nabojowej ku wylotowi się zwężała, a ściany aby ile możności były gładkie. Gdy te warunki są, to chodzi chyba jeszcze o to, aby przybitka, która bezpośrednio na prochu spoczywa, była tego rodzaju, iżby wywoływała pożądane tarcie, i aby stosunek prochu do śrótu był odpowiedni. Nie bez przyczyny uważamy przybitkę jako bardzo ważny czynnik, więc uwzględniamy materyał, z jakiego jest sporządzoną jakoteż wielkość. Przybitki robione z prasowanego papieru z obu stron w kształcie miseczek wklęśnięte (Treibszpiegel) dają wprawdzie, z wielkim oporem wylatując z luf strzał ostry, lecz są dla gorszych gatunków luf niebezpieczne. Przybitki filcowe są za miękkie i wydymają się podczas strzału, nie zamykają więc szczelnie powstałych przez spalenie prochu gazów, których działanie tem samem staje się mniejsze. Najlepsze przybitki bezsprzecznie są angielskie, a wyrabiane bywają w dwóch gatunkach. Pierwsze są z filcu 8 m/m grubego z obu stron nieco wklęsłe, drugie z materyału podobnego do skóry cokolwiek natłuszczone i oklejone papierem. Przybitki te używają się o dwa numera grubsze od kalibru strzelby t. j. dla kalibru Nr. 16 bierze się przybitki Nr. 12 i t. p. Rozumie się samo przez się, że przybitki te jako większe od patronu (rurki nabojowej) tylko za pomocą odpowieniego przyrządu do patronu wtłoczyć się dadzą, a więc nie przydatne są dla tych systemów, których rurki nabojowe robione są ze sztywnego papieru (iglicówki). Przybitki te natłuszczone są oczywistym dowodem, że mylą się ci, którzy sądzą, że cokolwiek tłustości w lufach ma wpływ szkodliwy na ostrość strzału. Dzieje się to tylko wtedy, gdy użyjemy nieodpowiedniej przybitki t. j. za cienkiej lub za wązkiej bez oporu przez lufy wylatującej. Przybitka na śrót małe ma znaczenie, wiele zaś większe szybkość i dokładność spalania się prochu w naboju, która w rozmaitych systemach wielce jest różną. Pod tym względem zdania są bardzo podzielone, bo gdy niektórzy słusznie tej okoliczności wielki przypisują wpływ na dobroć strzału, to inni twierdzą, że są to wszystko drobnostki bez znaczenia w praktyce. A jednak tak nie jest, bo im powolniej proch

się spala, tem też mniej silnie działa, więcej też osobliwie na dalsze odległości zakładać (vorhalten) potrzeba, aby zwierz ze strzału nie wyskoczył. W ogóle proch w naboju zapala się w strzelbie w trojaki sposób. Przy pierwszym sposobie ogień explodującej kapsli przez mały otwór jednym promieniem silnie uderza w proch i całą masę takowego przeciska zapalając w całości jednocześnie, w drugim przypadku ogień kapsli odbity od górnej ściany komórki czworogrannej, w której jest umieszczona, zwraca się ku masie w naboju będącego prochu i zapala tylko tę warstwę, z którą się bezpośrednio styka, explozya następuje więc częściowo, przenosząc się od jednej warstwy do drugiej. W sposobie trzecim kapsel lub masa wybuchowa znajduje się śród prochu pod lub nad prochem. Wybucha ona gdy zostanie igłą umieszczoną w zamku strzelby przebita, i zapala proch w ten sam sposób, jak w sposobie drugim t. j. warstwami, a więc nie jednocześnie. Sposób pierwszy odnosi się do systemu centralnego i jak widzimy efekt tejże samej ilości prochu przy równych innych warunkach w systemie centralnym będzie największym, podczas gdy systemy odpowiednie dwom następnym sposobom zapalenia prochu, t. j. system Lefauchenx'go i iglicowy pod tym względem są mniej wiecej sobie podobne. Ażeby wynaleść stosunek odpowiedni śrótu do prochu, czyniono rozliczne doświadczenia, osobliwie w Anglii. Próby te, jak z góry przewidzieć było można, nie dały żadnych pozytywnych rezultatów, ale mniej więcej (przypuszczając użycie silnego prochu) można przyjąć następujący zwykły stosunek:

	Nabój prochu	nabój śrótu
Kaliber 18	gramów 3.72	gramów 34.42.
„ 16	„ 3.98	„ 38.24.
„ 14	„ 4.25	„ 42.06.
„ 12	„ 4.78	„ 45.89.
„ 10	„ 5.05	„ 53.54.
„ 8	„ 5.85	„ 61.18.

Systemy odtylcowej broni podzielić można na dwie główne kategorye, z kurkami i bez kurków. Pierwsze tak szybko niedadzą się nabijać jak drugie, lecz co do trwałości i bezpieczeństwa stoją o wiele wyżej. Do kategoryi pierwszej policzyć przedewszystkiem należy system stanowiący niejako przechód od kapslówek do odtylcówek t. j. tak zwany system Barella. Jestto rzec można kapslówka, w której proch i śrót w papierowej tutce, wsuwa się z tyłu, a zapalenie naboju następuje w ten sposób, iż kapsel umieszczony na kominku (jak w kapslówce) przepala dno tutki i proch zapala. Rozumie się, iż system ten bardzo wiele zostawia do życzenia. Drugi system paryskiego rusznikarza Lefaucheux'ego zanadto dobrze znany, aby go szczegółowo opisywać należało. Wspomniemy tylko o zaletach i wadach tej konstrukcyi. Już sam fakt, że system ten bardzo licznych ma zwolenników (w ostatnich czasach zastęp ich się zmniejszył), świadczy wymownie o zaletach, jakie posiadać musi, skoro się tak rozpowszechnił i dotąd utrzymuje. Nie można jednak żadną miarą zgodzić się na to, iżby był najlepszym, bo jakkolwiek pojedyńczością mechanizmu bardzo się zaleca, zostawia wiele do życzenia pod względem szybkości spalania prochu i wszystkich z tą zaletą połączonych korzyści. Wada tego systemu leży w rurkach nabojowych (patronach), sztyfcik będący częścią składową tychże, wystaje na zewnątrz, wewnątrz zaś opiera się o masę wybuchową kapsli. Dość więc słabego uderzenia, upadnięcia i t. p., a nabój exploduje. Sam byłem świadkiem, jak pewnemu myśliwemu wsiadającemu na wóz nabój w kieszeni explodował, drugi zaś omal wzrokiem nie przepłacił swej nieostrożności, gdy napełniał prochem patrony i sztyft nacisnął, w skutek czego nie tylko nabój w rękach mu wypalił, ale zapalił proch na stole w szkatułce się znajdujący.

Następnie do kardynalnych wad tego systemu policzyć należy sposób, w jaki proch się zapala. Ogień explodującej kapsli, umieszczonej w czworościennej komórce na dnie patronu, zwraca się najprzód w górę, a odbity od górnej ściany zwraca się ku środkowi naboju i zapala pierwszą warstwę prochu, z którą się bezpośrednio zetknie. Warstwa ta zapala sąsiednią, tak, że stopniowo coraz dalsze warstwy się zapalają, dopóki cała masa w naboju będącego prochu się nie spali. Jakkolwiek cały ten proceder trwa bardzo krótko, nie jest jednak bez znaczenia. Rezultat robionych prób w tym kierunku jest ten, że dowiedziono, iż na kroków 60 do szybko biegnącego zwierza 15 cali zakładać potrzeba, aby zwierz ze strzału nie wyskoczył, podczas gdy z kapslówki w tych samych warunkach założenie na sześć cali przed zwierza wystarcza. Gdyby możliwem było wspomnione wady lefoszówek usunąć lub chociażby znacznie zmniejszyć, byłby ten system dla swej pojedyńczej, zepsuciu nie ulegającej konstrukcyi i taniej amunicyi najpraktyczniejszym. Wszelkie zmiany, które w systemie tym dotąd porobiono tyczą się przeważnie mechanizmu odmykającego i utwierdzającego lufy w łożysku. Nie wiele jednak poprawiono, gdyż klucz prosty pod szyją osady lub krzywy angielski pod zamkami na kabłąku cynglowym osadzony, dawno już są w użyciu a jednak bez kwestyi są lepsze od wszystkich sprężynowych mechanizmów. Najstarszą bronią odtylcową, która weszła w użycie, są iglicówki, wynalezione przez rusznikarza Teschnera przed trzydziestu kilku laty. Wprawdzie Dreyse w Sommerda jeszcze wcześniej system iglicowy zastosował, ale były to karabiny wojskowe, a strzelby myśliwskie tego systemu dopiero później były wyrabiane. Dwa więc są rodzaje iglicówek: Teschnera i Dreysego. U obu systemów lufy posuwają się ku przodowi, lecz w systemie Teschnera opadają one na dół, w systemie zaś Dreysego za pomocą excentra zwracają się w bok, nie wychodząc z poziomu. Iglicówki kurków nie mają, lecz sprężyny spiralne (Dreyse) lub bijące (Teschner), które popychają igły w zamku wewnątrz ujęcia osady, pod warkoczem łożyska umieszczone. Były wprawdzie w swoim czasie także iglicówki z kurkami dość rozpowszechnione, ale jako niepraktyczne wyszły powoli z użycia.

(Dokończenie nastąpi).

*

BIBLIOGRAFIA ŁOWIECKA.

II.

(S. L. Przewodnik myśliwca. Leszno i Gniezno 1848).

Na firmamencie naszego nieba literackiego jaśnieje gwiazda świetlana, która szeroko promień swój w koło rozsyła, ogrzewa serca, wzbogaca umysł, budzi życie a zarazem otuchę, iż śród takiej jasności naród swobodnie ku postępowi i rozwojowi kroczyć może i powinien. Gwiazdą tą są prace długiego życia jednego z najznakomitszych naszych pisarzów, prace Lucyana Siemieńskiego.

Nie naszą rzeczą dać wierny obraz jego zasług, jakie dzieje literatury naszej na kartach swoich zapisały, nam idzie o podniesienie drobnej a tak mało znanej pracy, którą podjął Siemieński na polu łowiectwa, pracy, która dziś jeszcze nie małą ma wartość i znaczenie. Patrząc na zakres czynności literackich Siemieńskiego w długim okresie życia jego, w którym oddawał się wyłącznie badaniu dziejów, rozwoju umysłowego naszego narodu, wnikaniu w tajniki archeologii i sztuki, któż mógłby przypuścić, iż wrażliwy jego umysł niegdyś pod wpływem magnetyzmu uroczej przyrody naszej całą siłą gorącego temperamentu swego zajęty był nią, i że ów poważny badacz jako myśliwy ułożył prawidła, które dla współbraci w tym rycerskim zawodzie miały być radą i wskazówką. Wrodzona żywość, wezbrane w sercu szlachetne popędy, bystrość umysłowa, rzutność i śmiałość tryskujące z krwi gorącej, wskazywały dziecku już zawód wojskowy jako najodpowiedniejszy dla jego przyszłości, a do zawodu tego wiódł go radą J. U. Niemcewicz, atoli przemagające i coraz bardziej rozwijające się zamiłowanie do nauk, pociągnęło go ku innemu kierunkowi, a owe rycerskie z natury usposobienie prócz zaszczytnego udziału w walce narodowej z r. 1831, wyraziło się tylko w namiętnej passyi do łowiectwa, któremu nawet w późniejszym wieku się oddawał, a czego śladem jest dzieło wydane pod tytułem: *Przewodnik myśliwca, ułożony przez L. S. Leszno i Gniezno 1848. Nakładem i drukiem Ernesta Günthera. 8vo str. 158.*

Nie wielkich to rozmiarów praca, nie wyczerpująca rzeczy, nie przeprowadzona umiejętnie w całym swoim obszarze, nie wiodąca myśliwego w każdej jego potrzebie, a jednak wielce cenna i pożyteczna. Nie należał Siemieński do rzędu owych uczonych pisarzy, którzy na podstawie mozolnie złożonego planu, biorąc za podwalinę obficie nagromadzony materyał, budowali gmach imponujący siłą fundamentów, okazałością i powagą form; budowy jego są raczej lekkie, eteryczne, rzucone jakby podmuchem fantazyi, są to genialne szkice, jakby lekkie rzuty znakomitych mistrzów pendzla, dłuta czy słowa. Takiem też jest dzieło, o którem w kilku słowach zdać mamy sprawę. Biorąc owego „*Przewodnika myśliwca*“ do ręki, naprózno szukałby tu czytelnik gruntownego objaśnienia i wyczerpującej nauki na całym obszarze łowiectwa czy to historycznej jego przeszłości, czy też obecnego rozwoju. Nie znajdzie w nim obrazu kraju, w którym łowiectwo rodziło się, rozrastało kształciło lub upadało; opisu przyrody, na której tle jakoby na kanwie rysowało się myśliwstwo w barwach jasnych lub bladych; nie znajdzie określenia życia i zwyczajów zwierząt łownych, ani też wskazówek dla myśliwego w każdej jego potrzebie. Słusznie mówi o nim Kraszewski: „Siemieński jest tak w wierszu jak w prozie niezmiernie dbałym o wykończenie, o kunszt, o język i styl, który po mistrzowsku do każdego przedmiotu zastosować umie. Jestto Benwenuto słowa, nie porywający się na posągi i grupy wielkich rozmiarów, chętniej się ograniczający małemi bryłami, z których wyrzeźbia klejnoty“. Takim też klejnotem jest nasz: „Przewodnik myśliwca“. Jesteśmy pewni, iż niemyśliwi, nawet niewiasty z zajęciem odczytają ową książeczkę, tyle tam życia, tyle ruchu, tyle swobody, malowniczych obrazów, humorystycznych epizodów, myśliwi zaś znajdą w tych śmiałych zarysach niejedną praktyczną i wielce użyteczną wskazówkę, a niezawodnie z niezmiernem zajęciem odczytają tę książeczkę, jakoby powieść najbardziej zajmującą. Rozpatrzmy się bliżej w owym „Przewodniku“.

W rozdziale pierwszym mówi autor *o starożytnem myśliwstwie.* Nie będziemy zastanawiać się nad każdym rozdziałem z osobna, a to głównie z tego powodu, iż każdy z nich jest tylko szkicowym rzutem, raczej ogólnym poglądem. Ściśle biorąc nie zasługuje książeczka Siemieńskiego na nazwę Przewodnika, dziś bowiem wobec ogromnego postępu przyrodnictwa i łowiectwa wymagania pod tym względem są znacznie większe, ale w owym czasie, gdy się to dzieło pojawiło (1848), lubo niezbyt od naszego odległym, może wystarczało ono myśliwym. Wszakże sam autor w swym obrazie historycznym łowiectwa mówi: „Nie myślałem zrobić go zupełnym, tylko wyjaśnić niektóre szczegóły“. Jakoż istotnie znajdujemy w wstępnym rysie historycznym zaledwo n i e k t ó r e s z c z e g ó ł y, z których całości choćby tylko szkicowej złożyć niepodobna. Ale jak cała ta książeczka, tak też i ten wstęp pociąga czytelnika ku sobie ujmującą formą, jasnym wykładem, humorystyczną często werwą, żywemi barwami, niekiedy poetycznym nawet nastrojem. A owe niektóre szczegóły są tak artystycznie zestawione, tak ściśle z sobą związane, iż lubo czytelnik czuje całą ich niedostateczność, to jednak utkwią mu one na zawsze w pamięci, i będą dlań miłem i pożytecznem przypomnieniem zwłaszcza, że cytaty starożytnych i nowoczesnych poetów naszych jakoby kwiaty na kobiercu rzucone ozdabiają całość.

W rozdziale trzecim mówi autor *o broni i o obchodzeniu się z nią.* Praktyczne to wskazówki dziś jeszcze mające względną wartość i znaczenie. Co do broni mówi przeważnie o perkusyjnej, odtylcowa, którą nazywa bronią z tylcem ruchomym *(à culasse mobile)* zaledwo sporadycznie pojawiać się zaczynała, nieznane były rozliczne jej systemy, nieznane jej udoskonalenie; nie dziw więc, że autor względnie ją tylko poleca i wytyka jej ujemności, które dziś nikogo nie uderzają. Wskazując dogodność jej w kniei, a szczególnie na ciągu, przytacza żywo i barwnie nakreślony wypadek: „Było to na Podolu, w okolicy mieliśmy wielkie stawy, zapełnione stadami kaczek, kulonów, kulików i innymi rodzajami wodnego ptactwa. Zmawiamy się we dwóch wsiąść na łódź, ukryć się w trzciny i czatować na przeciąg kaczek. Wzięliśmy każdy kartuzę, w której było po 24 ładunków. Słońce

zachodzi, czekamy z biciem serca, aż wtem nadciąga jedna chmura, wypalamy z wszystkich luf, coś spadło w trzciny, już nie szukając zdobyczy, nabijamy coprędzej, a tu znowu to pojedyńczo, to po kilka przeciąga krzyżówek prawie tuż nad głowami. Ciągle tylko nabijając i strzelając i nigdy nie mogąc nadążyć, byliśmy prawie w gorączce, w tym pospiechu mój towarzysz stempel złamał, a jam mój wystrzelił..... Łatwo sobie wyobrazić naszą rozpacz, kiedy właśnie po tym wypadku najgęstsze przeciągały szeregi“..... Następnie mówi o prochu, którego dobroć radzi próbować w taki sposób: „Wrzuć szczyptę w szklankę czystej wody, jeżeli ziarnka natychmiast na dno spłyną, niezostawiwszy żadnego pyłku na powierzchni wody, możesz być pewnym, że proch najlepszy“. W końcu tego ustępu daje autor cenne wskazówki odnoszące się do donośności broni, niebezpieczeństw w nierozważnem jej użyciu, do miary naboju i strzału, wreszcie do starannego utrzymania broni. Wskazówki dałyby się znacznie rozszerzyć, wzięte są jednak z praktyki i dokładnej znajomości rzeczy, mają więc i dzisiaj wiele ceny.

Rozdział VI. traktuje *o wyżle, jego rasowości i teoryi wychowania.* U wstępu znajdujemy zdania, na które niezawodnie każdy myśliwy się zgodzi: „Kto psa nie lubi, ten nie ma przyjaznego, ani wdzięcznego serca, a kto psa bije, kto go dręczy, ten będzie bił żonę, dręczył dzieci i sługi“. Łagodność jest kardynalną zasadą w obchodzeniu się z psem, jeżeli ma być prawdziwie pożytecznym, w wyjątkowych tylko wypadkach uciekać się należy do surowości. Musielibyśmy przepisać cały ów zajmujący ustęp, gdybyśmy chcieli przytoczyć cenne i praktyczne rady zwłaszcza co do dresury legawca. Nie jedno dałoby się dodać do tej teoryi, ale ująć podobno nie wiele, a przedstawienie rzeczy tak żywe, tak jasne, tak niekiedy humorystyczne, co zresztą do całego dzieła odnieść należy, iż czytelnik z niezmiernem zajęciem pogrąża się w treść jego. Ciekawą, zabawną np. jest illustracya postawionej przez autora tezy, iż niezawsze szlachetność rasy psa stanowi o jego dobroci. W tym celu przywodzi hiszpańską anekdotę: „Kto tam?“ pyta karczmarz gościa dobijającego się do bramy. — To ja! — Co za ja? — Don Żuan Pedro Hernandez Rodrigez de Villa Nova, hrabia Malafra, Cavallero de San Jago y d' Alcantaro. — Z Bogiem, z Bogiem! — odpowiedział karczmarz — niemam pomieszczenia na tyle gości“.

Króciutki ustęp VIII. mówi *o fizyjologii psa, jego chorobach i lekarstwach na nie.* Najsłabszy on podobno w całem dziele i wymaga znacznego uzupełnienia.

W następnych rozdziałach nie znajdujemy nic, na cobyśmy uwagę czytelnika zwrócić byli obowiązani. Jest tam w kilku dobitnych ale nie wystarczających słowach wzmianka *o ubiorze, przyborach, przesądach myśliwskich, o prawie polowania i występywaniu w pole, o wietrze, strategii i taktyce myśliwskiej, o myśliwym artyście i fortelach zwierzyny.* Są to aforystyczne uwagi, na doświadczeniu oparte, ale tylko lekko rzucone jakoby drogoskazy dla przyszłego autora gruntownego Przewodnika myśliwskiego.

Od rozdziału XIII. poczyna się rzecz o niektórych zwierzętach łownych i polowaniu na nie, jak *o zającu, kuropatwach, przepiórce, chruścielu i derkaczu, o bażancie, słonce, bekasach, o dzikich kaczkach.* O tem tylko i o niczem więcej. Czyż *Przewodnik dla myśliwca* o innych zwierzętach mówić nie ma obowiązku? Autor byłby usprawiedliwionym, gdyby był pracy swojej dał raczej tytuł: Kilka słów o niektórych rzeczach myśliwskich! W ustępach o wymienionej zwierzynie nie ma systematycznie i umiejętnie złożonego rysu życia z obyczajów tych zwierząt, są to raczej oderwane spostrzeżenia wyjęte z własnego lub z tradycyi przejętego doświadczenia, cenne to uwagi, ale nie dają dokładnej znajomości przyrody tych zwierząt i sposobów polowania na nie, jakichbyśmy od Przewodnika wymagać powinni.

Rozdział XX. nosi tytuł: *O wytępieniu szkodliwych zwierząt i słówko o przyzwoitościach myśliwskich.* Humorystycznie stawia autor na czele owych drapieżców kłusownika tępiącego zwierzynę sieciami, sidełkami i zastawkami. Po nim wymienia wilka, lisa, łaskę, tchórza, kanię, sowę, jastrzębia, krogulca, wronę, srokę, a nawet chronionego przez przesąd gminny bociana. — Dodaje: „jeżeli spotkasz kota na polu, w lesie, lub gdziekolwiek daleko od domu, bez namysłu pal mu w łeb. Wszelki pies bez pana luzem chodzący po polu lub borze, nie powinien ujść bezkarnie. Jeżeli to będzie chart lub wyżeł twego sąsiada, dobrze znajomy tobie, każ go pojmać, odesłać z grzecznym, bardzo grzecznym listem i pokorną prośbą, aby go lepiej pilnowano, za powtórnem jednak wykroczeniem, gdy poznasz, że to nie chęć spacerowania, ale zwierzynka go nęci, możesz mu posłać kulę“. Lisy radzi strzelać zawsze i wszędzie. — Pełen jędrnym dowcipem tryskającego humoru jest ustęp *o przyzwoitościach myśliwskich*, są tu wytknięte grzechy myśliwskie, zchwycone na gorącym uczynku. Zacytujemy niektóre: „Myśliwy powinien kończyć w polu swą rolę, w salonie stosować sie do grona w jakie wchodzi. Buciska zbłocone, ręce zafarbowane i język zbyt wygorsowany, nie mogą przypaść do smaku tym, co nigdy nie żyli w żywiole myśliwskim“. — „Pewien jegomość wprowadził charta do bardzo wspaniałego salonu. Chart, który nigdy nie widział swego portretu w naturalnej wielkości, przejrzawszy się w ogromnem zwierciadle, skoczył w nie, i stłukł w kawałki. Szczęście, że właściciel zwierciadła, aptekarz, który przez nabycie dóbr ziemskich został obywatelem, wziął ten przypadek po kupiecku, i na drugi dzień posłał rachunek — prawdziwie aptekarski“. — „W pokojach, ani na dziedzińcu nie strzelaj, kto ci zaręczy, że niepodrażnisz nerwów gospodyni domu lub panienek? Płeć piękna jest zawsze mało ostrzelaną“.

W końcu ostatni rozdział traktuje *o języku łowieckim*, podane tu niektóre termina łowieckie jako przyczynek do ogólnego wyrazownictwa myśliwskiego.

Już u wstępu zcharakteryzowaliśmy ową pracę Siemieńskiego, dodać więc jeszcze tylko należy w ogóle, iż ujmuje ona czytelnika wdzięczną formą, żywemi barwami kolorytu, prawdziwie myśliwską werwą opowiadania, plastyką obrazowania, wytworną humorystyką — a wreszcie i istotnym pożytkiem, wiele w niej bowiem zdrowych kłosów z pola badań i doświadczeń. Ale mimo tych zalet Przewodnikiem dla myśliwych być nie może, bo nie wyczerpuje przedmiotu, i nie ma systematycznej i naukowej podstawy. Polecamy ją jednak myśliwym naszym z wiarą, iż znajdą w niej przyjemność i względny pożytek.

J. Ł.

KORESPONDENCYE.

Z Puszczy Sandomierskiej, 1 Czerwca.

Wypadki dzierżawienia polowań na obszarach gminnych przez włościan kłusowników mnożą się ze szkodą zwierzyny w sposób zastraszający, konkurencya z nimi jest w obec okoliczności, że tacy dzierżawcy mając z góry zapewniony zwrot czynszu licytują bardzo wysoko, nie możliwą, ustawa zaś także jest bezsilną, gdyż przyszło już do tego, że nie piśmienni ludzie powyuczali się ustawy o polowaniu, i z dobrym skutkiem poddawali się egzaminowi na dozorców polowania. Znajomość ustaw byłaby wielce chwalebną, gdyby szła w parze z przestrzeganiem przepisów, niestety uczą się oni paragrafów w celu tem łatwiejszego obejścia tychże.

Każdemu myśliwemu wiadomo jak wielką szkodę wyrządza zwierzynie zły sąsiad, niszczy on polując nieoględnie na własnym obszarze owoc pracy drugiego, dzierżawca zaś nie mając pewności, czy po upływie pewnego czasu utrzyma się przy polowaniu zazwyczaj nie dba zupełnie o pomnożenie zwierzyny, lecz bije wszystko i w każdej porze, o innych już nadużyciach nie mówiąc.

Polowania na polach gminnych (z wyjątkiem łąk i błot obszernych) zazwyczaj nie mają w Galicyi żadnej wartości, ruch ciągły na drobnych parcelach, pasanie bydła po miedzach, wybieranie jaj i t. p. okoliczności nie pozwalają zwierzynie mnożyć się. Jedyny prawie dochód osiągnąć może dzierżawca polując nocami i rankami na wychodzącą z lasów przyległych zwierzynę. Podług ustawy nie można nic mieć przeciw temu, ale ściśle rzecz biorąc postępowania takiego w żaden sposób uczciwem nazwać nie można, bo przecie sarna jest zwierzyną wyłącznie leśną, w lesie się mnoży i żyje, na polu zaś najwięcej jest narażona. Każdy myśliwy przyzna, że czatując na oziminach najłatwiej ubić rogacza, i mógłbym przytoczyć dowody, że kłusownik ubije czatując pod lasem więcej sztuk, niż właściciel polujący w lesie, i w jedym roku wszystkie sarny nie wchodząc do lasu wytępić może.

Otóż w tym kierunku przydałby się w ustawie paragraf nowy, którego projekt poddaję światłej rozwadze Towarzystwa łowieckiego i dbałych o rozwój Towarzystwa kolegów myśliwych a paragraf ten brzmiałby: „Na polach, graniczących z lasem do innego rewiru należącym, nie wolno polować na wychodzącego (na zasiadki jak gdzieniegdzie mówią) i zastawiać łapek w odległości mniejszej niż 500 metrów od tegoż lasu, wyjątkowo wolno polować w powyższy sposób na zwierza szkodliwego, jednakowoż tylko za poprzedniem uwiadomieniem dozorcy polowania sąsiedniego. Wszelkie inne jawne sposoby polowania jak z wyżłem, buszowanie, z nagonką i t. p. nie podlegają żadnemu ograniczeniu“.

Wiem, że ograniczenie takie nie miłem będzie nie jednemu, pozbawi ono możności strzelania rogaczy i zajęcy na oziminach, alež niech ci myśliwi pomyślą, że każdy chciałby zbierać plon swego posiewu, niech się nie kuszą o cudze dobro, natomiast zaś niech hodują na polach zające i ptactwo dla własnej przyjemności i pożytku, sarnom zaś cudzym niech dadzą pokój.

Drugi mój projekt dąży do usunięcia choć częściowego od licytacyi polowań gminnych szkodliwych indywiduów.

Racyonalnego wykonywania prawa polowania i hodowli zwierzyny spodziewać się można tylko od tych, którym na utrzymaniu bogatego zwierzostanu zależy, a więc w pierwszym rzędzie od właścicieli większych obszarów, po nich zaś od Towarzystw łowieckich, mających statuta przez władzę zatwierdzone, jakich już kilka w naszym kraju istnieje. Dzierżawca, zwłaszcza włościanin o hodowlę zwierzyny nie troszczy się nigdy, gdy zaś polowanie jedynie zbiorowemi siłami w pomyślnym stanie da się utrzymać, jeden zaś szkodnik niszczy owoc pracy wszystkich sąsiadów, proponowałbym, by na mocy ustawy do licytacyi polowań gminnych przedewszystkiem tylko kompetentów z dwóch pierwszych kategoryi przypuszczono, prywatnych zaś tylko w braku innych kompetentów. Wyjątek możnaby uczynić dla ludzi zajmujących poważne stanowisko w społeczeństwie, dających już przez samo wykształcenie gwarancyę uczciwego wykonywania nabytych praw, choć i tacy najlepiej zrobiliby, gdyby się wiązali w stowarzyszenia łowieckie jak np. uczyniło to grono ludzi inteligentnych w Rzeszowie, które wspólnemi siłami znaczne już przestrzenie dzierżawi, ku pożytkowi zwierzostanu i własnej przyjemności. Zarzut jakoby podobne ograniczenie konkurencyi miało na celu jedynie korzyść właścicieli większych obszarów i inteligencyi, sumiennej krytyki nie wytrzyma, jeżeli się tylko istniejące stosunki rozważy, owszem właściciele gruntów rustykalnych otrzymywaliby za prawo polowania dochód odpowiadający rzeczywistej wartości dzierżawionego przedmiotu, podczas gdy dzisiejsze wygórowane czynsze są tylko fikcyą na papierze dla obejścia prawa istniejącą. Uprawnieni zwracają dzierżawcy czynsz nie dla jego pięknych oczów, lecz jedynie dla tego, by pod jego płaszczykiem wszyscy bez ograniczenia polować mogli. Że tak się dzieje, świadczą liczne fakta w powiecie np. Kolbuszowskim, gdzie mimo najlepszych chęci c. k. Starostwa, kłusownictwo jak nigdzie może w kraju kwitnie, w skutek czego mimo troskliwości wielu właścicieli, i wszelkich rozwojowi myśliwstwa przyjaznych warunków, stan zwierzyny z małymi wyjątkami gorzej niż mierny, bo w wielu rewirach prawie żaden.

Daleki od uważania powyższych projektów za lekarstwo niezawodne, rzucam tylko pomysł w nadziei, że wywołam dyskusyę, która przy dobrych chęciach naszego Towarzystwa łowieckiego, w końcu rzecz tę do pomyślnego rezultatu doprowadzi. *K.*

Storonetz-Putilla (Bukowina) 23 Maja.

O myśliwskich stosunkach w Karpatach bukowińskich. — Podaję tu w głównych zarysach wiadomości dotyczące stosunków łowieckich i polowania w górach bukowińskich. Nim do tego przedmiotu przystąpię, musze dać obraz gór bukowińskich, ich zalesienia i właściwości. Powszechnem jest mniemanie, iż Karpaty bukowińskie są wyższe i więcej zalesione jak galicyjskie. Mylne to mniemanie należy sprostować. Góry bukowińskie są o wiele niższe od galicyjskich, i nie dosięgają nigdzie wysokości 6.000 stóp nad powierzchnią morza. Podzielić je wypada na dwie części, mianowicie na część zachodnią zamieszkaną przez Huculów, charakteryzującą się nie wysokiem wzniesieniem nad poziom morza, szczyty ich bowiem nie dochodzą wysokości 5000 stóp, i brakiem kosodrzewiny i jałowca. Znajdują się wprawdzie te krzewy gdzieniegdzie, lecz rzadko i to pojedyńczo, i nie rozlegają się na takich przestrzeniach, jak w galicyjskich Karpatach powiatu

Kosowskiego, Nadwórniańskiego i Bohorodczańskiego. Druga część południowa zamieszkana przez Wołochów cechuje się wyższem wzniesieniem najwyższy szczyt Dziumeleu (wymawia się Zumelew) 5863 stóp jest najwyższym szczytem Bukowiny) i obecnością, lubo także w niewielkiej ilości, kosodrzewiny (*Pinus Maghus* Scop.) i jałowca karłowatego (*Juniperus alpina* Wahlb.), oraz należnością tych gór do formacyi Karpat siedmiogrodzkich. Mówić będziemy tylko o części zachodniej, zamieszkanej przez bukowińskich Hucułów i przylegającej do Galicyi. Góry rozłożyły się tu szeroko, w północnej części od Wyżnicy pokryte są one przeważnie lasem bukowym, na południu zaś rozpościera wszechwładne swe panowanie smerek (świerk). Lasy te niegdyś olbrzymie i nieprzebyte, dziś są po części ręką ludzką wycięte tak, że obecnie są ogromne obszary bezleśne, i trawa pasznista tylko na nich rośnie. Nie dziw też, że zwierzyna usunąć się musiała w dogodne miejsca, i gdzieniegdzie tylko ma swe eldorada, w których przebywa. Do wyniszczenia jej przyczynia się jeszcze i to, iż polowania dzierżawią tu po największej części Huculi, którzy znowu polowanie innym Hucułom odnajmują, zasłaniając się pozorem, że odnajmujący od nich polowanie są tylko ich strzelcami. W takim stanie rzeczy zwłaszcza, że Huculi zamieszkują tu i werchy gór, a do wysokości 4000 stóp n. p. m. można znaleść sadyby ludzkie, nie dziwmy się, że liczba zwierzyny i ptactwa jest wcale niewielką. Bardzo wielu Hucułów posiada strzelby, nawet kilka, a mieszkając często na szczytach gór śród lasów, mają sposobność wybijania zwierzyny w każdej porze roku. Zresztą mało kto w tych stronach prócz Hucułów jest myśliwym, bo rzadko kto ma ochotę wspinać się po stromych wyniosłościach, wieśniak zaś tutejszy urodzony i wychowany śród gór doskonale jest obeznany z miejscowością, zna też dokładnie wszystkie ostoje i przesmyki zwierzyny. Rzucę tu kilka słów o niej rozpoczynając od drobniejszej. Zające tu rzadkie, sarn bardzo mało, borsuki bywają gdzieniegdzie, lecz jak wszędzie tak i tu nieliczne. Wiewiórek (biłyci) mało, wybijają je bowiem dla skórek. Wilki są dosyć rzadkie, a niedźwiedź, trzymający się statecznie granicy węgierskiej i gór galicyjskich, jeszcze rzadszy. Jelenie w kilku stadach ukrywają się starannie, jedno stado znajduje się na górze Wanczyn (4314 stóp n. p. m.). Kozice (gemzy) zachodziłyby z gór siedmiogrodzkich częściej, szczególnie na góry leżące na granicy węgierskiej i na wyższe góry galicyjskie, należące do Hryniawy i Zabiego, gdyby pozwolono im się ostać. Przed kilku laty zaszła kozica na Burakową Kiczerę, gdzie przez dwa czy trzy lata przebywała. Huculi z początku nie bardzo ją prześladowali sądząc, że to sarna, później jednak przekonawszy się, że „dyka koza“, zapolowali na nią, i ubił ją myśliwy Pantełła Czuczko. Miano też przed niewielu laty ubić kozicę na górach Kosowskich (w okolicy Hryniawy), o czem zebrawszy bliższe szczegóły, doniosę czytelnikom „Łowca“. — Ptaki także nieliczne. — Głuszców i cietrzewi mało, jarząbków nie wiele więcej, kuropatwy dosyć rzadkie. Z mniejszych ptaków tylko drozdaków wiele, szczególniej na wiosnę pojawiają się w wielkiej ilości. — Ciąg słonek był w tym roku bardzo słaby, rozpoczął się w Storońcu 2 Kwietnia, a skończył 14, ale na wyższych szczytach trwał dłużej znacznie. Słonki zostają tu, lubo nielicznie, na wyższych górach na czas lęgowy.

Michał Wierzbowski.

KRONIKA.

Zapiski historyczne. — W VII. stóleciu znany w Turcyi proch strzelniczy, dokładny opis składników jego znajduje się w dziele arabskiem z czasów wojen krzyżowych.

1308. Hiszpanie używają dział pod Gibraltarem.
1340. Pierwszy młyn prochowy w Augsburgu.
1346. W bitwie pod Crecy walczą łucznicy angielscy przeciw uzbrojonym w muszkiety Francuzom, celne strzały łuczników rażą 6 razy na minutę w odległości 250 kroków, w tymże czasie strzelają muszkiety przy pomocy lontu zaledwo raz jeden na tę samą odległość.
1362. Wyrób 500 sztuk pistoletów w Perouzie, kawalerya przebija tą bronią pancerze.
1400. Palna broń rozpowszechniona w Szwecyi.
1460. Kazimierz Jagiellończyk urządza ludwisarnią dział we Lwowie
1469. Pierwsza fabryka broni palnej we Francyi.
1546. Zygmunt August wydaje przywileje strzelcom lwowskim.
1560. Guter w Norynbergii wynalazca wiatrówki.
1567. Książę Alba zaprowadza broń palną w piechocie hiszpańskiej, broń ta miała zamki (radschloss), wynalezione w Norynbergii.
1650. Pierwsze zamki skałkowe z deklem odskakującym we Włoszech.
1684. Wojsko austryackie dostaje broń palną.
1786. Wynalazek spłonek explodujących rodzaju kapsli.
1820. Delonbert Francuz wyrabia kapsle miedziane.
1831. Ackerstein w Szwecyi bierze przywilej na strzelbę o ruchomej kolbie, z tyłu nabijaną.
1832. Lefaucheux we Francyi sporządza strzelbę swego systemu.
1835. Minié Francuz poprawia gwinty broni ciągniętej z dodatkiem kul stożkowych, próżnych u podstawy (expasionsgeschoss).
1838. Szwajcarya zaprowadza w wojsku kule podłużne (compressionsgeschoss).
1840. Dreysego cündnadlówki zaprowadzone w armii pruskiej.

L. W.

———

Miłośnikom błotnych polowań dajemy przepisy doświadczone orzeźwiającej podczas upałów limoniady, tudzież wybornego smarowidła na obuwie.

I. Wsyp do płaskiej flaszeczki 30 gramów soli kwasu winnego (*acidum tartaricum*), tyleż soli kwasu cytrynowego (*acidum citricum*) i zapraw tę mięszaninę pięciu kroplami esencyi cytrynowej, a flaszeczkę zakorkuj. Szczypta tego proszku wsypana do szklanki wody cukrem osłodzonej, daje bardzo miły i orzeźwiający napój.

II. 500 gramów miałkiego cukru, 16 gramów soli kwasu cytrynowego, kilka kropli esencyi cytrynowej. Zmięszać, zakorkować we flaszeczce, dwie łyżeczki do szklanki wody dodać, i pić jako limoniadę.

III. Do butelki większej wlać jeden liter koniaku, jeden liter wody miętowej, dodać 500 gramów tłuczonego cukru. To wszystko niech kilka dni stoi, poczem dodać 7 do 8 kropli esencyi miętowej. Zapas taki wystarczy na czas dłuższy, leje się bowiem z manierki tego płynu tylko na grubość małego palca do szklanki, którą zresztą dopełnia się wodą, która daje wyborny chłodnik.

IV. Smarowidła: Łoju 500 gramów, smalcu 125 gramów, olejku terpentynowego 62 gramów, wosku zwykłego 62 gramów, oliwy 62 gramów. Rozpuścić w polewanym tygielku, zmięszać i wcierać w rozgrzaną skórę, szczególnie w szwy obuwia.

V. Łoju wołowego surowego 250 gramów, smoły 500 gramów. Rozpuścić i smarować jak wyżej. *W.*

———

Mały wróg zająca. — Nazywany bywa zając płochliwym, słabego ducha, głupcem i Bóg wie czem jeszcze, a nikt o tem nie pamięta, aby z rozwagą rozglądnąć w jego nieszczęsnem położeniu. Nie ma on groźnych pazurów, nie ma zębów błyszczących, całe zbawienie jego polega tylko w skokach. Pozostaje mu przeto tylko w nich szukać pomocy. Kiedy w ucieczce wobec nacierającego nań wroga straci głowę

i przytomność, któż mu to może wziąć za złe, gdy przecież każdy przyzna, że to nawet w rodzie tak zwanego *homo sapiens* zbyt często się wydarza. Nasz zajączek ma tylu wrogów, iż zaprawdę dziwić się należy, że przecież dosyć często późnej doczeka starości. Wejdźmy choćby tylko dla poznania jednego z mniej groźnych napastników w towarzystwo jego. Oto letnia pora, dzień pogodny. Słońce promieniami swymi przenika ziemię, powietrze faluje po nad polami. Pszenne kłosy w pełni swego rozkwitu wznoszą się, a między źdźbłami żółtawemi wychylają się niebieskie cyany. Przezacny Kopyra nie chętnie w pocie czoła szukający pożywienia, już to wygodnie uczynił podczas chłodnej nocy i mglistego poranka, a teraz śród dziennego upału używa z rozkoszą *dolce far niente* pod sklepieniem gęstego chaosu kłosów. Jakżeż tu zacisznie. W koło szemrzące, szeleszczące kłosy tworzą wał ochronny, a nawet z góry żaden powietrzny drapieżnik nie może dostrzedz drzemiącego leniucha. Składa on swe uszy wygodnie w tył, rozlega się swobodnie na przyjemnie ogrzanej ziemi, a ogromne jego wytrzeszczaki bezmyślnie patrzą przed siebie. Tak tu bezpiecznie, więc może bez troski usnąć, i spoczywać aż do wieczora. Ale oto spostrzegamy śród kłosów przesuwającą się wysmukłą, brunatną postać łasicy, to z całą przezornością podskakuje, to znowu w wdzięcznych ruchach wolno postępuje w koło się rozglądając. Wtem ciemno-płomieniste oko jej dostrzegło swobodnie spoczywającego zajączka. Wnet wysmukły jej korpus przeciąga się w kształty węża, i wijąc się bez szmeru posuwa się coraz bliżej ku niemu. Oto jeszcze krok, dokładnie wymierza odległość, i jakoby siłą sprężystą podrzucona wzbija się w górę. Równocześnie z głośnym jękiem podskakuje przerażony szarak, ale już łasica uwisła mu silnie u karku. Atakowany rozpaczliwie rzuca się w powietrze w prawo i w lewo, w szalonym pędzie wpada w las kłosów, lecz mimo wysileń nie może się pozbyć swego wroga. Ostre pazury wpiły się kurczowo w jego ciało, a ostre jak szpilki zęby już mu przecięły arteryę. W śmiertelnej trwodze żałośnie jęcząc zatrzymuje się na chwilę, szalenie wyrzuca skokami, usiłuje tylnymi dosięgnąć zuchwałego napastnika, i ściągnąć go z siebie, nawet mozolnie zwraca swą głowę, aby się bronić ostrymi zębami, ale wszystko napróżno. Mały rabuś ssie go jak pijawka, a umieścił się na jego korpusie tak rozważnie, iż wszelkie obronne ruchy wcale go nie dosięgają. Jeszcze kilka podskoków, i oto z ostatnim jękiem boleści pada zając wysilony i martwy. Łasica z żarłocznością wampira ssie krew sączącą się z drgającego jeszcze ciała, rzuca jeszcze potem szatańskie spojrzenie, pełne dzikiej radości na bezwładną już ofiarę, i w swawolnych podskokach posuwa się dalej w gąszcz kłosów, aby może wkrótce znowu podobny mord popełnić. Wszakże mały ten diabełek morduje tylko dla mordu, z szatańską rozkoszą bawi się szerzeniem śmierci, a rzuca się nawet na większe zwierzęta. Elastyczna jego zwinność, ostre zęby i pazury, a nadewszystko zadziwiająca w tak małem stworzeniu zuchwałość dają mu najczęściej w walce zwycięstwo. W obec silnych drapieżników, z którymi mierzyć się nie może, umyka z niesłychaną szybkością, wpada do pierwszej lepszej mysiej dziury, i już jest bezpieczną. Groźniejszem jest dla niej ptactwo drapieżne. Sokoły, krogulce, jastrzębie i t. d. spuszczają się pędem strzały na nie, ostre szpony wpajają w nie, i w jednej chwili przecinają nić żywotną owym złośliwym rabusiom. Również myśliwi, znając ich wrogość dla zająca, chętnie posyłają im grad ołowiu, wiedzą bowiem, że śmierć jednego takiego brunatnego psotnika ocali życie niejednego, tak srodze i nieustannie prześladowanego zająca.

„*Weidmannsheil.*“

B ę b n i e n i e k s z y k a. — Wyczytałem w „Łowcu“ zdanie pana O., zgodne nawet z obecnem twierdzeniem nauki, że kszyk wydając z siebie głos czyli po prostu wabiąc, czyni to końcami skrzydeł czyli lotkami. Sądzę, iż to jest niemożliwe. Budowa skrzydeł a raczej ich upierzenie w czasie najszybszego nawet ruchu, wydać może świst, jaki słyszymy u ciągnących kaczek, gołębi pospolitego rodzaju z tego powodu świstakami zwanych. Burkoczący głos, jaki wydaje zrywający się z gałęzi głuszec, ciurkot, z którym zrywają się przepiórki i kuropatwy, a wreszcie szum, z jakim przeciągają nad głowami naszemi stada lub całe chmury ptactwa, — wszystko to wynika z budowy skrzydeł, a raczej z ich upierzenia. Takie to już prawo akustyki, że im przedmiot, w tym razie pióra cieńsze i dłuższe u końców lotek, tem też podczas poruszania niemi, przecinania powietrza, wydają różnorodne, tępsze lub ostrzejsze głosy. Prosta deszczułka najlepiej nam to udowodni, machając w powietrzu jej szerokością, słyszymy szum, przecinając zaś powietrze jej kantem, daje się słyszeć wyraźny świst. Tak też się dzieje z skrzydłami a raczej piórami ptaków, im dłuższe są one u lotek, tem ostrzej przecinają powietrze, tem szybciej się poruszają, a skrzydła takie wydają świst dosyć głośny. — Właśnie takiego składu są skrzydła kszyka - bekasa, więc też podczas lotu żadnego innego prócz świstu lekkiego głosu nie wydają czy to podrywając się, czy zapadając w pełnym locie, czy nawet w porze parzenia się, kiedyto kszyk zwykł na chwilę zawisnąć w powietrzu ponad siedzącą na ziemi samką. Głos, jaki kszyk bekas wcześnie z wiosną podczas parowania się wydaje, wcale nie wynika, jak p. O. twierdzi, z gwałtownego poruszania skrzydłami, lecz wydaje on ów głos z wnętrza swego, co już sam ton ów beczący stwierdza. Upraszam czytelnika, niech raczy dobrze przypatrzyć się kszykowi-bekasowi na wiosnę w czasie parzenia się. Samiec wtedy ma gardziel nieco wydęty, przy samem ujściu do dolnej części dzióba do małego wola podobny. gardziel u samca z natury już większy, krtań obszerniejsza jak u samek. Roznamiętniony popędem płciowym, ùpędzając się za samką, lub upatrzywszy ją skrytą w sitowiu, w zapale miłosnym spuszczając się na nią wydaje wyraźnie głos: bĕ - bĕ - bĕ - bĕ - bĕ - ē - ē. Głos ten następowy ē - ē analogiczny jest z głosem następowym przy pianiu koguta. Ruch ten w gardle wywołuje jego wydęcie dosyć znaczne, jak to też się dzieje u samców wszystkich spiewających ptaków, na przykład kanarków i t. d., lub też u pawiów, gołębi. Samce burkoczące gardłem mają wole duże, wydatne, samice zaś posiadają je także, ale o wiele mniejsze. U kszyka-bekasa jest ów wól nadto wydatny, iżby mu przypisać można inne przeznaczenie. Mamy na to i w wnętrzu jego dowód, iż bębnienie kszyka-bekasa nie ze skrzydeł pochodzi, jak to utrzymują pan O. i niestety bardzo wielu myśliwych. Nim o tem mówić będziemy, wspomniemy nawiasem, iż bębnienie kszyka zowie się u wszystkich niemal narodów beczeniem, bekaniem, ztąd u Polaków kszyk jest bekasem, u Francuzów bécassine, u Niemców becassine, u Włochów becasso, u Rusinów zaś baraneć, bo beczy jak baran. Podobnie nazwali Rzymianie żórawia zgodnie z głosem, jaki tenże ciągnąc w wysokiej dali wydaje g r u s, Niemcy zaś czyli raczej dawni Germanowie k r u n i c h, dziś k r a n i c h. Kszyk-bekas samiec posiada w wnętrzu swego gardła narząd służący jedynie do wytworzenia głosu, podobny do gałki lub małego laskowego orzecha, wewnątrz próżny, narządzik kostny nad płucami umieszczony, stykający się a właściwie połączony z krtanią. Wyjąwszy z wnętrza ów narząd i dmąc weń, można zwłaszcza w pierwszej chwili po wyjęciu, wydobyć z niego głos wprawdzie nie bębniący czyli beczący, podobny wszakże do głosu, jaki wydaje średnich rozmiarów flaszka, gdy się w nią dmie. Łatwo zrozumieć użytek owego narządu. Głos w wnętrzu jego wytworzony, dobywa się gardłem na zewnątrz. Podczas wabienia się przymykaniem i rozwieraniem dzioba sprawia w jednolitym głosie, wychodzącym z gardła pewne przerwy, a raczej małe przestanki, i ztąd to powstają owe bĕ - bĕ - bĕ - bĕ - bĕ - ē - ē. Przy ostatniem ē - ē - już ptak z szczelnie przymkniętym dziobem spada na samkę, a ów głos jest jakoby echem poprzedniego zamierającem w płucach. Wszystkie niemal ptaki podobne jak kszyk narządy głosowe posiadające badałem, wyjmowałem gardziele z kszyka, gęsi i dmąc wydobywałem z nich głosy podobne, jakie wydają owe ptaki żywe. Kszyk bekas zwykł tylko na wiosnę w czasie parzenia się wcześnie rano lub przed wieczorem bębnić czyli bekać a raczej wabić, w połowie Kwietnia milknie, odtąd nie inny wydając z siebie głos, jak zwykły przy podrywaniu, t. j. ksykanie, i dla tego nazywa się ksykiem, jak go słusznie nazywa zawsze znakomity nasz badacz przyrody, który niech raczy sprawę bębnienia ksyka rozstrzygnąć. Lud nasz ruski słysząc bębnienie kszyka zwykł mówić: „Wże bude wesna, bo barancia czuty“. Kszyk, jak wiadomo, lata szybko i zwinnie, i nie tylko na wiosnę. gdy upędza się za samką lub obces na siedzącą spada, lot jego podobny do pędu strzały, lecz takim on jest w każdej porze. Nieraz zmuszony on jest użyć całej siły skrzydeł, istotnie jak strzała spaść na ziemię w celu ochronienia się od strasznej dla niego pogoni jastrząbka szulaka, wróblarza, któremu często udaje się schwycić nawet w lot kszyka lub dubelta, wtedy jedną dla kszyka ochrona gwałtowne zapadanie w gąszcz sitowia lub trawy, gdzie go już drapieżnik nie dostrzeże. Nieraz widziałem i słyszałem ową godową piosnkę bębnienia u kszyka, zdarzało mi się podpatrzyć sceny z domowego życia tego ptaka. jestem pewny, że kszyk tylko na wiosnę bębni czyli beka, ośmielam się przeto twierdzić stanowczo, że głos ów wychodzi nie ze skrzydeł, jak mylnie dotąd sądzą uczeni i myśliwi, lecz jedynie z gardła za pomocą dzioba. *Gawin.*

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.